

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 14 listopada 1948 r.

Nr 46 (155)

TRESC NUMERU: J. Nowak, Dłużewski — Zygmunt Wasilewski; Z naszego stanowiska...; J. Gintuł — Do wiadomości katolikom; J. Rychlewski — Sardes Gore; A. Hutnikiewicz — Tom Essayów Wacława Kubackiego; J. A. Górski — W Pałacu pod Gruszą; M. Markowski — Wędrowki po scenach polskich; Wł. Pietrzak (Balk) — Lot Jaskółek.

Zygmunt Wasilewski

O ZAWODZIE DZIENNIKARZA

Artykuł Z. Wasilewskiego „O zawodzie dziennikarskim” jest fragmentem większej (napisanej w 1942 r.) pracy na temat podstaw kultury narodowej. Ma też wszystkie jej cechy, a przed wszystkim ujęcie tła społecznego, charakterystyczne dla epoki, w której rozwijała się najbujniej twórczość Zmarłego, a które przetrwały w Jego osobowości pisarskiej do końca. Można w tej pracy wyodrębnić wyraźnie wpływy monizmu i idealizmu filozoficznego, scholastyki, oraz specyficznym spencerowskie traktowanie zagadnień społecznych. Z tym wszystkim zasadnicze myśli o obowiązkach publicysty nie straciły na aktualności.

REDAKCJA

TŁO PRACY PUBLICYSTY

Miejszem krytycznym w psychice ludzkiej jest linia przełęcz między człowiekiem jako tworem biologicznym, a człowiekiem społecznym. Ruchliwość, zmienność, falistość i burzliwość głębin życia i nurtujących je prądów w znacznej mierze tutaj ma swoją przyczynę. Jednostka reprezentuje jako swoją osobistą własność wszystko, co jest jej intymnym stosunkiem do świata i wejrzeniem w ten świat pod różnymi. Jednostka żywi w sobie pragnienie wolności osobistej w tym zakresie chroni też tajemnicę swej genialności, swej wyobraźni, swojej tęsknoty. Wszystkie te jej promienie, jakby w ciemni optycznej, między jednostką a społeczeństwem odwracają układ i to, co jest dla jednostki pozytywnym układem, staje się tutaj dla niej negatywnym, odwrotnie zaś dla społeczeństwa — pozytywnym. Energia działa widocznie według tych praw, co światło. Otrzymujemy jednak nie obraz odwrócone dla oka, lecz odwrócony bieg spraw psychicznych. To, co było dodatniego dla bytu jednostki, musi być przez nie oddane ofiarnie dla dobra bytu wyższego, aby dopiero tam w reprodukcji społecznego działania dało wynik pozytywny. Tak jest w fotografii.

Dzieje się to nie bez tarć i nie bez walk. Uprzymiarniamy sobie dzieje tych procesów w literaturze i w sztuce, w filozofii, w etyce, polityce, gdzie całymi okresami walczyły subiektywizm z obiektywizmem, uczuciowość z „mędrcą szkieletem i okiem”, liberalizmem z nakazem społecznym, konserwatyzm z postępem, demokracją z nacjonalizmem, immanentną „czynnością” — z racją stanu itd.

Zawilgość życia ludzkiego, czyniąca je zagadką, pochodzi stąd, że człowiek jest tworem psychofizycznym, kierującym się jednocześnie prawami fizyki i prawami psychiki. To, co jest w nim z materii, daje się pojąć w warunkach przestrzennych, to zaś, co jest duchowego, dzieje się w czasie; życie tedy ludzkie występuje ciągle w iloczynie warunków, przestrzeni i czasu. Dzieje przeto społeczeństwa, reprodukcją pożytkiem geniuszu człowieka, nie dają się odłączyć od podstawy terytorialnej z jednej strony, a z drugiej — od faktu historycznego wiązania się pokoleń. Kombinacja warunków przestrzeni i czasu daje taki

rezultat, że jednocześnie w tym samym społeczeństwie współżyją z sobą przedstawiciele różnych epok rozwoju duchowego, związani z sobą tylko najogólniejszą podstawą uczuć gniazdowych.

Dodajmy do tych różnic regionalnych w kulturze grę odmian etnicznych, emulacyjny nastrój generacji, z sobą współżyjących, oraz płci, wpływy obcych cywilizacji, walkę klas społecznych, interesów politycznych i ekonomicznych, prądy doktryn itp., — a będziemy mieli pełną zamętą otchłań, w którą pada Słowo, mające to życie harmonizować.

Życie byłoby w tym chaosie beznadziejne, gdyby ten chaos nie był tylko pozorny, gdyby postępowaniem ludzi kierowały tylko luźne władze psychiczne czy popędy zmyślowe. Nie stworzyłyby społeczeństwa i przez nie pełnego człowieka nawet najbogatsze talenty twórcze, nawet intelekt płodzący piękne doktryny, nawet uczuciowość, podniesiona do wyżyn bohaterstwa i świętości. Dokonają zaś wielkiego dzieła, zbawczego dla jednostki, dla narodu, jego cywilizacji i dla ludzkości wszystkie te siły tworzące w organicznym połączeniu. Cud tego połączenia dokonuje organ, wytworzony w kulturze społecznej, mianowicie SUMIENIE. Ono dźwignęło człowieka na poziom Etoosu w świat życia moralnego, dobrowolnie i bezinteresownie uspołecznionego i politycznego. „Homo sapiens” jest jednocześnie „zoon politikon”.

U ludzi pierwotnych akty pozostawienia interesu odbywają się bezwiednie pod naciskiem automatycznym krwi i bezpośrednim środowiskiem rodziny, tutaj wysiłek ofiarny na rzecz społeczności podany jest indywidualnej kontroli człowieka i potęgowany naciskiem jego wolnej woli. Sumienie jest wytworem kultury społecznej, która

na ten cel zużytkowała wszystkie dary energii życiowej, dostarczone jednostce przez przyrodę i świadomość. W sumieniu jednostki, w tym wyciągu syntetycznym wszystkich darów psychicznych pulsuje tętno duszy społeczeństwa. Wiąże ono jednostkę ze środowiskiem rodzinnym w sposób jak najściślej, jest bowiem ono przeciw sumieniem człowieka osobistym, którym on się kieruje w życiu prywatnym i najbardziej intymnym — religijnym. Ta wspólność aparatu kontrolnego sprawia, że w środowisku cywilizowanym nie ma dwu miar etycznych. Sumienie decyduje o postawie człowieka, daje mu pion dostojności i odpowiedzialności na wszystkie okoliczności życiowe, poczynając od obowiązków wobec Boga i siebie samego, aż do najdalszych krańców zasięgu ideowego.

Sumienie jest sędzią w sprawie dobra i zła, jest też wyrocznią w sprawach prawdy, a busołą w postępowaniu. Kto zrozumie jego znaczenie, ten zrozumie, jak wielkiego dzieła cywilizowanego dokonał Kościół, dając sumieniu charakter sakralny, jako twórcę etyki normatywnej i wychowawcę sumień indywidualnie przez spowiedź kontrolowanych.

Człowiek społeczny (polityczny) wyrasta z człowieka etycznego. Etycznej fazy rozwoju przeskoczyć nie można bez szkody dla życia narodu. Z jednostką, pozbawioną sumienia w życiu prywatnym, nie można traktować o sprawach dobra zbiorowego, ona bowiem nie ma do tych spraw dostępu psychicznego. Dlatego te wszystkie próby przedostawiania się do steru społeczeństwa jednostek i grup, nie mających (wskutek zaniedbania osobistego lub wskutek złej szkoły ideowej) zmysłu etycznego naturalnego, ufających jedynie sile i mechaniczności środków, kończyły się zawsze krzywdą społeczeństwa.

Człowiekiem wykończonym w kulturze społecznej jest ten, którego sumienie obejmuje swoją wrażliwością całość tego środowiska, które mu zawdzięcza swoje życie duchowe. Środowiskiem takim jest naród, jako gniazdo cywilizacyjne jednostki. Podstawą kwalifikacji człowieka cywilizowanego jest posiadanie

nie sumienia narodowego. To jest minimum wymagań, jakie należy mu stawiać. Odtąd bowiem zaczyna się człowiek polityczny, obywatel. Wolno mu mieć różne przekonania co do skuteczności sposobów działania dla dobra publicznego, ale punktem wyjścia tych przekonań musi być sumienie, które mu daje to przeświadczenie, że takie postępowanie a nie inne odpowiada rzeczowo dobru publicznemu. Kryterium przedmiotowości jest tu niezbędne: dobro publiczne, dobro narodu. Znane było to kryterium starożytnym cywilizacjom, skąd je wzięły w maksymie: „Salus rei publicae suprema lex esto!” Jest to istotnie prawo najwyższe, ukute w tej formule nie na jakąś okazję patetyczną, wymagającą bohaterstwa, lecz prawo socjologiczne; poprostu definicja naukowa miary obywatela, definicja miary jego poczucia obowiązku i poczucia odpowiedzialności.

O tym, jak szerokie i głębokie są podstawy osobowości narodu, zdepomowane w duszy jednostki, świadczy nie tylko socjologia i doświadczenie powszechne, praktyczne, ale i wyobrażenia poetów, odkrywająca intuicyjnie najgłębsze prawdy życia. Trzeba pod tym kątem widzenia przeznaczyć uważnie słowo po słowie widzenie Konrada w Trzeciej części „Dziadów”. Nie będę dla braku miejsca rozbiór tego obrazu tu robił, każdy dokona go sam. Zwracam tylko uwagę, że Mickiewicz wypowiedział w tej improwizacji swoją duszę, mianowicie dramatyczny spazm sumienia swojego w dobre dla narodu krytycznej. Było to w czasie, gdy naród stracił zewnętrzną więź państwową, która z niego czyniła osobowość zorganizowaną. Po katastrofie, która resztki tego ustroju zewnętrznie zniszczyła, naród uczuł się w potrzebie wydobycia ze swego wnętrza siły organizacyjnej moralnej. Mickiewicz pierwszy odczuł dramatyczność tego w sarkazmie, odczuł poczucie nowej epoki w życiu Polski i Polaka, biorącego los ojczyzny na swoje sumienie, na suwerenność bezpośrednią narodu. Świadomość narodu naszego znalazła się dzięki Mickiewiczowi u swego szczytu, dzięki wrażliwości i wyobraźni jego sumienia. Z tej wy-

żyny nikt już naszej świadomości nie zdejmie.

Czym się różni sumienie narodowe, jako wykładnik duszy jednostki, od wszelkich innych zobowiązań duchowych? Różni się poczuciem, że człowiek jest komórką wyższego organizmu, dzielącego z nim wspólne losy, to znaczy, że to połączenie losem jest organiczne, nie jakieś chwilowe. Najwyższą instancją dla sumienia obywatelskiego nie jest opinia współczesna, urabiająca się popularnie na użytek doraźny w chwili bieżącej. Sumienie narodowe jest organem etycznym, urobionym na użytek dziejów, a dzieje z tej wyżyny ideowej się ciągnie nieprzerwanym życia, w którym teraźniejszość jest tylko punktem mentalnym dla naszej świadomości. Za ledwie daje się pomyśleć, już jest przeszłością, wciągniętą w przyszłość. Sumienie narodowe wrażliwe jest w swym poczuciu odpowiedzialności zarówno za przeszłość narodu, jak i za jego przyszłość.

DZIENNIKARZ WOBEC OPINII PUBLICZNEJ

I to jest moment ważny w problemie dziennikarstwa. Dziennikarz nie jest sługą jakiejś „aktualnej” opinii, lecz jej instruktorem i wychowawcą, aby ta opinia w każdej bieżącej chwili była dziejotwórczą, to znaczy kierowała się sumieniem narodowym.

Gdybyśmy z tego elementarnego wymagania zrobili w teorii czy w praktyce jakiegokolwiek ustępstwo, musielibyśmy się zgodzić na fakty, że instytucji prasy używałoby się do posługi dowolnie obranej opinii, bądź w zakresie ściślejszych środowisk (poszczególne miasta, okolice, prowincje), bądź poszczególnych grup społecznych, czy towarzyskich, klik, mafij, a nawet do posługi osobistej potentatów, uzurpatorów władzy, kondotierów wreszcie do posługi obcych agentów, szukających oparcia w opinii jakichś grup.

Służba dziennikarska musi być wykładnikiem najprostszego, naturalnego, patriotyzmu, tego patriotyzmu, który działaczowi daje kwalifikację: pater patriae. Patriotyzm nazywam stosunkiem psychicznym do środowiska, naturalnym, bo to jest stosunek organiczny, gdy wszystkie inne stosunki społeczne mogą być tylko umowne, wypływać z kalkulacji, korzyści, lub być wykonywane pod batem. Patriotyzm jako fakt psychiczny, dany sumieniu pod władzę, nie wymaga żadnego uzasadnienia, tak jak stosunek do rodziny najbliższej. Jest stosunkiem dającym sumieniu maximum pewności, jako poczucie prawdy, ponieważ jest wrodzonym instynktem rodzicielskim człowieka, więc jest powszechny, a w dobrej kulturze organizuje wszystkie dary człowie-

Dnia 25 października 1948 roku, o godz. 4-tej nad ranem zmarł w wieku lat 83.

S. + P.

ZYGMUNT WASILEWSKI

Uczony, publicysta, działacz społeczny.

Cześć jego pamięci!

Dm 19105-

Zygmunt Wasilewski

1865 – 1948

ka (rozum, uczucie i wolę) w jedną niestępliwą siłę. Patriotyzm jest siłą powszechną, korzeni się bowiem w najgłębszym pokładzie duszy — w miłości życia; dają mu sankcję uczucia rodzinne, religia, etyka, korzyść społeczna, honor, do stojność osobista, duma narodowa. Patriotyzm sprawia taką jednolitość ducha w społeczności narodowej, że o sprawach narodu radzić może w każdej chwili rodak najbardziej edukowany z prostakiem, którego całym bogactwem umysłowym jest to, co mu dały tradycje wpojone w instykt życiowy.

Ideą stał się dziennikarza, jako publicysty i myśliciela, powinno być utwierdzenie łączności i porozumienia między elitą patriotyczną narodu a warstwami, mającymi w pełni żywotności instynkty życiowe. Najniebezpieczniejszymi dla ducha narodowego są te stadia rozwoju, w których człowiek, zaniedbując sprawę sumienia, szuka oparcia w mędrkowaniu.

O PEŁNIE CZŁOWIECZENSTWA

Mówiłem dotąd o materiale, w którym dziennikarstwo pracuje. Wszystko to jednak służyło do charakterystyki powołania dziennikarskiego. Najwyższą kwalifikacją pisarza, a zwłaszcza odpowiedzialnego dziennikarza, jest pełnia jego człowieczeństwa. Musi przede wszystkim zasługiwać na miano człowieka, takiego człowieka, któremu nie, co ludzkie, nie jest obce. Więcej na wet: którego wszystko co ludzkie porusza. Nie może być dziennikarzem ten, kim nie wiada wielka ciekawość życia i tegoż życia umiłowania. Dziennikarz z pustym sercem, kierujący się tylko ciekawością, aby sycić ciekawość innych po dobnych sobie, — jest pospolitym plorkarzem, a przy tym cynikiem. Mówić tedy możemy poważnie o dziennikarstwie, mając na myśli, że zatrudnia ludzi z sercem, etycznych i ideowych, zasługujących na miano pisarzy narodowych.

Dziennikarstwo, jako funkcja życia duchowego zbiorowości, jest zajęciem przybierającym tyle postaci, ile ich jest w samym życiu. Nie ma też ogólnej definicji przedmiotowej tego zawodu. Trzymać się trzeba pojęcia tego zawodu, wskazówką psychologiczną podmiotowości tego zajęcia, mianowicie tą, że należy ono do kategorii duchowych, typu czynnego, procesów.

Dziennikarz, — jak mówiłem — jest działaczem, który dla swych zadań obrabiał sobie drogę piśmienniczą. Jakie miejsce zajmuje w rozkładzie zajęć tego zawodu, to sprawa wtórna. Łatwiej byłoby już tutaj znaleźć definicję rzeczową, czym jest referent zdarzeń (reporter), czym publicysta, czym redaktor, czy technik redakcyjny, korespondent, felietonista itp. Ogólny jednak wspólny rys tych wszystkich zajęć nadaje temu odłamowi piśmiennictwa charakter czynu społecznego.

Jak ten rys się zaznacza w produkcji pisarskiej? Dziennikarz może mieć wszystkie kwalifikacje intelektualne uczonego humanisty, lecz gdy ten w metodzie swej pracy naukowej trzymać się musi zasady stwierdzenia tego, co jest, i dlatego tak jest, to naturze publicystyki takie stanowisko nie wystarcza: ona musi się wypowiedzieć w kierunku: jak powinno być. Stąd pochodzą zarzuty tendencyjności, czynione publicystom, a płynące z nieporozumień literackich.

A cóżby to był za działacz, który by czegoś nie chciał, nie dążył do spowodowania korzystnych zmian w życiu?! Życie jest przez wszystkich miłowane i badane. A te badania odbywają się z trzech stron,

bo tylko trzy są zasadnicze stanowiska subiektywne badających. Jedni badają je intelektem, drudzy ze stanowiska uczuciowego, porwani jego pięknem (sztuka), najpoważniejszy jednak stosunek do życia dyktowany jest wolą, wolą uczyńnienia go szczęśliwym i lepszym. Dziennikarz jest w służbie tej ostatniej kategorii.

Wspominałem wyżej, czym w piśmiennictwie odróżnia się widzenie dziennikarza (publicysty) od uczonego. Różni się ono też od beletrystycznego. Artysta pisarz dąży do wydobycia ze zjawisk życia znamion najistotniejszych, do czego potrzeba mu jest intuicja wyobraźni poetyckiej, a następnie dąży (i tu leży jego artystyzm) do pokazania światu tej istotności rzeczy w obrazie symbolicznym, a nawet alegorycznym. Dziennikarz zajmuje wobec faktu stanowisko praktyczne, interesuje go każde zjawisko indywidualne, jego symptomatyczność i znaczenie dla życia społeczeństwa.

Twórczość, którą tutaj obejmuję zakresem piśmiennictwa, daje się zrozumieć w swej jedności, jeśli jej damy wspólny mianownik: życie. Filozofia jest jego refleksją, poezja, powieść, dramat — tegoż życia wynurzeniem, dziennikarstwo i publicystyka — stwierdzeniem, wyjaśnieniem i dyrektywą. Wywyższe nie się czy separowanie dwu pierwszych kategorii twórczości od trzeciej nie da się ze stanowiska filozofii życia uzasadnić. Bo cóż, że myśl naukowa czy artystyczna — stawia sobie cel samoistny utrwalanie swego tworu w konstrukcji stałej, mającej wartość monumentalną, bezwzględnie prawdziwą i piękną? Myśl publicystyczna — zapewne — różni się od tamtych, że puszczona na falę życia sama dla siebie nie istnieje — to prawda. Ale czy ginie? Bo cóż trwalszego nad życie? Ona wraca, aby się pojawić w tychże pomnikach nauki czy sztuki, a samodzielnie stwarza dzieło bodaj najtrwalsze z dzieł — posąg wielki i żywy z jednej bryły, jakim jest naród cywilizowany.

Nie ma przeto przepaści między dziedzinami twórczości duchowej, zwłaszcza — w piśmiennictwie. Światowej sławy i potęgi poeta, Mickiewicz, jest królem z Bożej łaski myśli publicystycznej w Polsce nowoczesnej. Bolesław Prus, potentat beletrystyki i filozofii życia, był z zawodu dziennikarzem, na tymże warsztacie dziennikarskim ostrzył czarodziejskie pióro Henryk Sienkiewicz. Wielki mąż stanu, twórca owego „posągu z jednej bryły” — Roman Dmowski konstruował swe dzieło na warsztacie publicystycznym z materiału myśli naukowej, filozoficznej przy największym na pięciu wyobraźni, jaka dana jest poetom.

Żadna akademia naukowa czy literacka, nie ma takiej policji, która by wzbrowiła publicystę przedostawać się po swoje dobro w ich dziedzinie. Publicysta bowiem świadomy żywiołu życia, musi szukać współdziałania wszystkich dziedzin twórczości duchowej i wszystkich twórców napominać: memento vivere! Z żywymi naprzód trzeba iść. Nie myślom zamarym pomniki stawiać, lecz drogowskazy.

Nauka hardo stawia się publicystom, ale na skinięnie byle usurpatora władzy nad życiem pracującym chętnie nad wytwarzaniem środków niszczenia tego życia. Sztuka porafi z pogardą odwracać się tyłem do krzewicieli idei dziejotwórczych. Oba te jednak procedury nauki i sztuki muszą być przedmiotem baczonej uwagi i opieki ze strony publicystyki, aby się używotniały i nie zamieniały życia w cmentarz.

Dobro życia — suprema lex!

Zygmunt Wasilewski

Z Zygmuntem Wasilewskim zetknąłem się bliżej na gruncie prac Zarządu Koła Kielczan, organizacji skupiającej w sobie wychowanków kieleckich szkół średnich od czasów najdawniejszych.

Należał do generacji starszej, wiele więc być musiało protekcjonizmu w jego stosunku do młodszych roczników warszawskiego Koła Kielczan, protekcjonizmu usprawiedliwionego, zważywszy okoliczność, że w czasach, kiedy Koło Kielczan rozpoczynało swoją działalność, a więc gdzieś koło roku 1925, Zygmunt Wasilewski był już pozycją ważką w dziejach kultury naszej, postacią, która miała największy ciężar gatunkowy w ówczesnych zarządach Koła, złożonych przecie z ludzi nie byle jakich.

Protekcjonizm, o którym mowa, miał swój charakter: płynął od człowieka dystygowanego w najlepszym znaczeniu tego słowa, o wytwornej sylwetce duchowej, nacechowanej prostotą, spokojem i wyrozumiałością w stosunku nie tylko do licznych przyjaciół, ale i licznych również niechętnych mu ludzi. Nie miał ani krzty w sobie tego, co się nazywa parweniuszostwem duchowym, nie mającemu, rzecz prosta, nic wspólnego z pochodzeniem społecznym. Nie zapominajmy, że działał jako członek Stronnictwa Narodowego w okresie po zamachu majowym. Był solą w oku rządzącemu obozowi, jako czynny pisarz, formułujący ideologię tego stronnictwa, stąd był wystawiony na liczne ataki ze strony sfer rządzących. Stąd właśnie ci ludzie niechętni, o których mowa.

Nie obchodzi nas tutaj pozycja Wasilewskiego jako polityka. Obchodzi nas Wasilewski jako pisarz, czynny w budowaniu kultury swego narodu. Już przed wojną zapomniał o Wasilewskim polityku, podczas gdy walory Wasilewskiego, pracownika kultury, wrazały z każdym rokiem.

Imponował rozległą wiedzą w zakresie literatury polskiej. Był z wykształcenia prawnikiem, ale z upodobania i powołania był literatem. Ludzie jego czasów unikali studiów humanistycznych, bo to były studia, które mogły zaprowadzić człowieka na katedrę w szkole i do tego w szkole carskiej, rosyjskiej. Mimo tego zdobył poważną wiedzę o literaturze polskiej, zwłaszcza z epoki romantycznej. Ogłosił studia: „Od romantyków do Kasprowicza”, „Jan Kasprowicki”, „Seweryn Goszczyński” i in. Niedługo przed wojną zdobył nagrodę naukową za pracę o Norwidzie. Niezależnie od wiedzy literackiej posiadał wytrawny smak literacki: był koneserem piękna utworu literackiego. Znał się dobrze na robocie literackiej i wiedział, gdzie trzeba szukać majstra, a gdzie fuszera. Mimo tego trzymał się świadomie na stanowisku laika w sprawach literatury. Przypominam sobie, jak się wymawiał od recenzji pracy z historii literatury, o którą go prosiłem, mówiąc, że nie jest historykiem literatury. Szukał obiektywne sprawdzianów poziomu pisarskiego nawet tam, gdzie mu tego zabraniało jego „sumienie endeckie”. Myślę o Zeromskim, dawnym znajomym Wasilewskiego. Uczyli się przecież w tym samym gimnazjum kieleckim, chociaż nie w tych samych klasach. Pracowali potem razem w latach 1892 — 1894 jako bibliotekarze w tym samym Muzeum Polskim w Rapperswilu. Nie podobał się Wasilewskiemu kierunek ideologiczny twórczości Zeromskie-

go. A jednak oddawał sprawiedliwość nie tylko talentowi literackiemu Stefana Zeromskiego, ale nawet i jego ideologii. Pogodziła obu poróżnionych przeciwników politycznych miłość do ziemi ojczystej, obyczaju i tradycji rodzimej. Kto by się chciał o tym przekonać, niech sobie przeczyta pracę Zygm. Wasilewskiego p. t. „Oddech ziemi, dwa pisarze regionalni Stefan Zeromski i Adolf Dygasiński”, drukowaną w nr 39(96) z dn. 28.IX.1947 r. w „Dziś i Jutro” (przedruk z „Pamiętnika Kieleckiego” 1947).

Pogodził ich ze sobą „kraj lat dziecińczych”, któremu Zeromski oddał hołd w swojej twórczości. Najładniejsze partie liryczne „anamnezycznych” utworów Zeromskiego wyrosły na tle umiłowania przez pisarza lasów i gór Świętokrzyszczyzny, w których leży zarówno Siekierno, wieś rodzinna Wasilewskiego, jak i Strawczyn, gdzie się urodził Zeromski.

Tej miłości ziemi rodzinnej należy przypisać fakt redagowania przez Wasilewskiego przez lat kilkanaście „Pamiętnika Koła Kielczan”, który stał się najpoważniejszym w kraju wydawnictwem regionalnym, gromadzącym z roku na rok sporo materiałów i gotowych studiów, dotyczących dziejów kultury tej polskiej krainy. Wasilewski jako redaktor tego wydawnictwa spłacił winną daninę wdzięczności: swojej ścisłej ojczyźnie, tak jak to czynił na swój sposób Zeromski, kreśląc idealne dzieje gimnazjum klerykowsko-kieleckiego i modelując dwa „zworniki, w jedność ujmujące okolice” jego wieże kościół pod Łysicą i katedrę kielecką (nie omieszkaj tego Wasilewski przypomnieć we wspomnianym studium o Zeromskim).

Na tej podbudowie, którą nazwę chętnie „cywilizacją narodową” Wasilewskiego, której poświęcił sporo studiów i przyczynków, Koncepcję tę budował, rozumiejąc organiczny związek dzisiejszego życia narodu z jego przeszłością w duchu filozofii spirytualistycznej. „Pogląd idealistyczny — pisze w pracy „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej” — oparty na uznaniu faktu, że duch prowadzi dzieje, nie jest bynajmniej widzeniem poetyckim... Ponad prawami materialistycznego rozwoju, ponad twórczością państwową, ponad interesami klas, ponad tym wszystkim, co przemijająca szkoła myślenia wysuwa jako kierowniczy czynnik życia zbiorowego, unosi się ambitny duch twórczy narodu, dążący do stworzenia rodzimej cywilizacji”. Pod tym kątem widzenia traktuje on również zadania życiowe jednostki w ramach życia zbiorowego, organizowanego z zasadach bezinteresownej służebności „celom nadrzędnym”.

Studia naukowe, problematyka historiozoficzna, krytyka literacka, praktykowana w pismach codziennych i tygodniowych — to był jeden rozdział tego bogatego i długiego życia. Kto wie, czy nie należy żałować, że nie wyłączny.

Bo najwięcej absorbowano mu czas i siły dziennikarstwo, które się stało jakby głównym zawodem Wasilewskiego. Kiedy wrócił z Rapperswilu został w r. 1895 redaktorem „Głosu”, prowadzonego przez pięć lat. Od r. 1902 przenosi się na kilkanaście lat do Lwowa, gdzie redaguje „Słowo Polskie” do r. 1915, roku przymusowej ewakuacji z tego miasta do Rosji. Nie podobna było zostawać w tym mieście pod rządami Niemców, skoro wiedziano, że

Wasilewski był propagatorem poglądu politycznego, który nakazywał porozumienie z Rosją, bo widział wroga narodu w Niemcach. Na emigracji prowadził redakcję Piotrogrodzkiej „Sprawy Polskiej” i kiewskiego „Przeglądu Polskiego”. Wracając do kraju w r. 1918. obejmuje redakcję „Gazety Warszawskiej”, którą prowadzi do r. 1925. W tym roku chroni się od zgielku codziennej dziennikarki w zacisze tygodnika „Myśl Narodowa”, redagowanego przez siebie bez przerwy do września r. 1939.

W jego szkicach, uwagach i refleksjach, ukazujących się w „Myśli Narodowej”, mógł znaleźć upodobanie nawet człowiek, obcy ideologii politycznej, wyznawanej przez Wasilewskiego, ideologii narodowo-demokratycznej. Jego prace miały poziom. Dodajmy, że pociągają ku sobie właściwościami stylu, który łączył w sobie dwie cechy: ścisłość racjonalistyczną z obrazowością artystyczną. Właściwości te, jak mi się zdaje, płynęły z cech jego psychiki, wrosniętej korzeniami w konkretny, czerpiącej pożywkę z ziemi i drobnych nawet jej spraw, ale jednocześnie sięgającej wysokości niebios. Szukał zawsze, mówiąc jego językiem „wylotu ku słońcu”. Udzielał każdemu gościu w swym tygodniku, kto przychodził do niego z rzeczą nową, twórczą i interesującą. Pamiętam, jak dziś, śliczne liściki Kazimierzy Iłakowiczówny, drukowane stale w „Myśli” w tych czasach przecie, kiedy poetka poza „Myślą” drukowała rzeczy, których Wasilewski nie aprobował, ba, które wręcz zwalczał.

Toteż roczniki „Myśli Narodowej” zachowują, jak się zdaje, wartość dla każdego poważnego badacza kultury.

Lata wojny stały się ciężką szkołą doświadczeń dla Wasilewskiego. Żył — jak nie bez humoru o sobie mawiał — z dobroczynności ludzkiej. Po powstaniu zamieszkał u przyjaciół w Krakowie, skąd się przeniósł do Wisły na Śląsku po wyzwoleniu Polski spod jarzma niemieckiego. Nie chciał kraju opuścić, choć miał możliwość wyjazdu za granicę do rodziny za normalnym paszportem władz polskich i angielskich. Mówił, że jego miejsce jest w kraju, nie za granicą.

Ostatnie lata spędził, dotknięty kalectwem ślepoty, zachowując do ostatka pełnię władz umysłowych i właściwą sobie zawsze ostrość widzenia rzeczywistości.

Zmarł w Wiśle 25 października w wieku lat 83.

Juliusz Nowak-Dłużewski

NOWOŚĆ!

Jan Dobraczyński

„W rozwalonym domu”

obj. 264 str. — cena 580,— zł

poleca

KSIEGARNIA

Zdzisław Gustowski

Poznań, Wielka 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

W kraju

ZJEDNOCZENIE PARTII ROBOTNICZYCH

PODANY został do publicznej wiadomości ostateczny termin wspólnego kongresu Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, podczas którego nastąpi połączenie obu stronnictw w jedną partię polityczną klasy robotniczej. Kongres zjednoczeniowy trwać będzie od 8 do 13 grudnia br. Ukonstytuowanie się nowej partii poprzedzone jest szeroką akcją oczyszczającą szeregi partyjne dotychczasowe z niepożądanych politycznie, ideowo czy klasowo elementów. Nowa partia pomyślana jest jako awangarda polityczna o ilości członków znacznie mniejszej, niż dotychczas miały w sumie obie partie robotnicze. Przy czym daje się zaobserwować zjawisko — raczej pomyślnie, — iż poszczególni działacze partyjni zostają zwolnieni z partii, nie tracąc jednak zaufania na odcinku wykonywanych przez siebie funkcji fachowych. W każdym razie rośnie w ten sposób liczba bezpartyjnych w naszym państwie, a więc i rośnie waga problemu bezpartyjnych, którego Prezydent Bierut poświęcił znaczną część swej mowy i który w przyszłości będzie musiał być tak rozsądnie regulowany, by nasza wspólna własność — Państwo Polskie — nie poniosła przy tym najmniejszego uszczerbku.

Termin zjednoczenia partii robotniczych stał się okazją do manifestacji ideowo-gospodarczej, zapoczątkowanej przez górników kopalni „Zabrze-Wschód“, a polegającej na deklaracjach załóg robotniczych poszczególnych zakładów przemysłowych podejmujących się wykonania, ew. nawet przekroczenia w określonej wysokości, planu rocznej produkcji do dnia kongresu zjednoczeniowego. Przyczyną trzeba, niezależnie od posiadanych poglądów politycznych, że ta forma manifestowania swej postawy ideowej, w racji potrzeb odbudowywanego się państwa jest wybrana bardzo szczęśliwie, gdyż jest to manifestacja pracy.

Jednocześnie przewodniczący NKW SL pos. Baranowski zapowiedział, iż już w niedługim czasie nastąpi połączenie się SL z PSL, które jednak będzie również poprzedzone ideowym oczyszczeniem szeregów obu stronnictw.

PRZECIWKO DYSKRYMINACJI INTELIGENCJI PRACUJĄCEJ

W toku proklamowanej przez partię robotnicze ostrej walki klasowej zdarzają się raz po raz silne stronnictwo uderzenia w inteligencję pracującą, tak w łonie własnych stronnictw, jak i bezpartyjną. Sprawa ta, w wypadku jej rozprzestrzenienia się oraz nasilenia, groziła by mogła odtrąceniem inteligencji pracującej od dotychczas przez nią wykonywanych obowiązków zawodowych, a to z kolei odbić by się musiało nader ujemnie na sprawności odbudowywania i funkcjonowania maszyny państwowej, tak gospodarczej, jak administracyjnej czy kulturalnej. Rzecz jednak doczekała się autorytatywnego oświelenia w artykule pos. Fr. Blińskiego, zastępcy kierownika wydziału ekonomicznego KC PPR, ogłoszonym w organie oficjalnym KC PPR „Głosie Ludu“. W artykule tym stwierdził, iż zachodzą wypadki: automatyczne dyskryminacji inteligencji pracującej pos. Bliński pisze:

„...Tęgo rodzaju postawa i tego rodzaju poglądy nie mają absolutnie nic wspólnego ze stanowiskiem partii w tych zagadnieniach.

Stosunek partii do inteligencji pracującej był, jest i pozostanie nadal całkowicie pozytywny i przychylny. Partia, organizatorka budownictwa socjalistycznego, wysoko ceni uczciwą pracę każdego inteligenta w tym budownictwie, chociażby nie towarzyszyło jej jeszcze właściwe uświadomienie polityczne. Partia i Rząd, jak stwierdził to w sposób najbardziej autorytatywny Prezydent Rzeczypospolitej w ostatnim orędziu Sejmowym, stwarzają i stwarzać będą nadal dla wszystkich ludzi uczciwej intencji i czystych rąk wszelkie warunki twórczej pracy i awansu społecznego niezależnie od ich przynależności partyjnej...

„...Nie mają racji ci, na szczęście nieliczni, towarzysze, którzy z przekąsem i lekcewa-

żeniem odnoszą się do specjalistów, którzy chcieliby machnąć ręką na wielki kapitał umiejętności fachowych inteligencji, szermując niesłusznym i szkodliwym w takim ujęciu powiedzeniem o „kretynizmie fachowości“.

Błąd zaś już nie do darowania popełniłby każdy, kto usiłowałby wpełznąć całą podstawową część inteligencji pracującej do obozu wroga klasowego...

„...Nie wolno wreszcie; to jest właśnie najważniejsze, przeoczyć olbrzymiej pracy i wielkich zasług tysięcy inżynierów, techników, nauczycieli itp. w dotychczasowej pracy nad odbudową kraju. Stając od pierwszych chwil wyzwolenia przy swych warsztatach pracy i wykonując sumiennie swe obowiązki, mimo ciężkich niejednokrotnie warunków, ludzie ci udowodnili, że są wśród inteligencji pracującej poważnie sily gotowe iść razem z klasą robotniczą...

„...Nie wolno dopuścić, aby pracujący inteligent, wykonujący sumiennie obowiązki nałożone przez państwo czuł się w czymkolwiek zagrożony lub też zatracił śmiałość w swoim działaniu o czystej intencji.

Należy, podobnie jak dotychczas, przeciwstawiać się zdecydowanie wszystkim nastrojom antydyrektorskim i walczyć o wzrost autorytetu dyrektora wobec załogi.

Przy akcji oczyszczania szeregów partyjnych nie wolno się kierować żadnymi uprzedzeniami w stosunku do inteligencji.

ZGON BISKUPA

W irodze powrotłej z pogrzebu Prymasa Hiłonda samochód wiozący Ordynariusza Łomżyńskiego Biskupa Stanisława Łukomskiego uległ katastrofie, wskutek której Biskup Łukomski poniósł śmierć. Urodzony 1874 — w 1920 wyświęcony na biskupa - sufragana w Poznaniu, w 1926 obejmuje decezyjną łomżyńską, którą wypada mu organizować od podstaw. Buduje Diecezjalny Dom Katolicki, podnosi Seminarium Duchowne, wzorowo urządza Urząd Biskupi (Kurię Diecezjalną), uruchamia Drukarnię Diecezjalną i w całym kraju znane Wydawnictwo („Biblioteka Dobrej Książki“). Organizuje wzorowo Akcję Katolicką i Związek „Caritas“. Po śmierci Prymasa Polski jest to nowa żałoba polskiego Kościoła.

PODATEK — NARZĘDZIEM WALKI KLASOWEJ

RADA Ministrów uchwalila nowe dekryty o podatku dochodowym i obrotowym stanowiące zasadniczy zwrot w naszej polityce podatkowej, gdyż po raz pierwszy w sposób najzupełniej wyraźny — co stwierdza publicysta St. M. w „Rzeczypospolitej“ z dn. 3 listopada 1948 r. — wymiar podatkowy ma być instrumentem walki klasowej. Owym nowym polega na tym, że całość podatników podatku dochodowego podzielona została na 5 grup w zależności od źródła swych dochodów. Grupa pierwsza: artyści, ludzie nauki, publicyści; druga — rzemieślnicy drobni; trzecia — inżynierowie, technicy, lekarze itp.; czwarta — przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, gospodarstwa rolne, i pozostałe wolne zawody i piąta — jeśli dochód płynie z posiadanych kapitałów lub nieruchomości. W zależności od owych źródeł dochodu — stopa podatkowa przyjęta dla grupy IV jako 100% ulega albo zmniejszeniu (w grupie I-iej o 25%), albo zwiększeniu (w grupie V-iej o 25%). Poza to podwyższona została stawka dochodu wolnego od podatku (z 72.000 zł na 120.000 zł rocznie), nieco zmniejszone zostały stopy podatkowe dochodów do 500.000 zł rocznie, podwyższona natomiast stopa podatkowa od dochodów powyżej 500.000 zł rocznie.

Prezes Banku Narodowego Polskiego min. Drożniak podał do wiadomości, iż nastąpi dalsza reorganizacja bankowości w Polsce, polegająca na ograniczeniu ilości centralnych, ogólnokrajowych banków w Polsce do liczby sześciu, jeszcze ściślej, niż to jest obecnie uzależnieniu ich od państwa, oraz ujednoczeniu ich statutów i dokładnym rozgraniczeniu kompetencji, tak by państwo miało w bankowości sprężysty instrument egzekwowania swej gospodarczej polityki.

W świecie

ZWYCIĘSTWO TRUMANA

DNIA 3 listopada — zgodnie z konstytucją amerykańską — naród amerykański dokonał wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych (dokonywanego co cztery lata), oraz Kongresu (zmienianego co dwa lata). Dwa lata temu sensacją wyborczą było zwycięstwo Republikan nad Demokratami, tak iż prezydent demokratów Truman przez dwa lata rządził przy wrogim sobie republikańskim kongresie, co oczywiście odbiło się zupełnie wyraźnie na zygakowatości polityki amerykańskiej, szczególnie wewnętrznej. Z reguły bowiem zgodni w polityce zagranicznej — w polityce wewnętrznej republikanie różnią się od demokratów ściślejszym związaniem z wielkim kapitałem, a więc, co za tym idzie, mniej ulegają żądaniom robotników. Republikanie też byli tymi, którzy uchwalili anty-strajkową ustawę Harley - Taft, głęboko reakcyjną w swej społecznej wymowie. Zwycięstwo republikan w wyborach z roku 1946 oraz prognostyki badaj wszystkich obserwatorów amerykańskiego życia politycznego, poczynając od polskich korespondentów prasowych (Wionczek), skończywszy na wnikliwie ponoc pracującym Instytucie Badania Opinii Publicznej Gallupa — zgodnie przepowiedziały zwycięstwo Deweya, kandydata republikan. A oto — zgola nieoczekiwane — zwyciężył demokrata Truman, a większość w kongresie na najbliższe dwa lata zdobyli demokraci. Truman szermował w swej kampanii wyborczej hasłami: znanego Roosevelta, dowodził to — wbrew wynikom z 1946 — iż Amerykanie są do hasel tych przywiązani. Czy Truman potrafi im zadośćuczynić? Zobaczymy. Niespodzianka wyborcza zdaje się pouczać o konieczności ogólniejszego i mniej autorytatywnego ferowania wyroków — niż zwykli czynić to byliśmy dotąd — o amerykańskiej rzeczywistości politycznej. W każdym razie zwycięstwo Trumana, oraz milion głosów oddanych na Wallace'a wskazują na jedno: na to, iż Amerykanie boją się zbyt radykalnych posunięć w dziedzinie tak polityki wewnętrznej, jak zewnętrznej. Wybór republikanina groził bowiem właśnie takimi radykalnymi nawet awanturniczymi posunięciami, zarówno we własnym kraju w obronie wielkiego kapitału, jak i na zewnątrz, głównie przeciw ZSRR. Truman ostatnio czynił szereg gestów wskazujących, iż byłby skłonny prowadzić bardziej pokojową politykę wobec ZSRR. Czy gesty te obecnie, raz wybrany, zechce dalej kontynuować, może nawet realizować — zobaczymy za kilka tygodni.

KLĘSKA KUOMITANGU

REŻIM Czang-Kei-Szeka doznaje porażek raz po raz. Mimo pomocy amerykańskiej, ostatnio udzielanej jednak zapewne niezbyt szczodrze, gdyż Marshall nie ukrywał swej niechęci nie tyle do ideowego oblicza rządu Czang-Kei-Szeka, co do jego personalnego składu (zarzucał korupcję ministrom!) — mimo więc tej pomocy nie może uporać się z chińską armią ludową, która ostatnio odniosła wręcz wspaniałe zwycięstwo. Zdobyła Mukden i tym samym praktycznie zlikwidowała władztwo rządu Kuomitangu w całej Mandzuri. Obecnie zagrożone są Chiny Północno - Wschodnie, a wojska ludowe znajdują się o 320 km, od Nankinu, stolicy Kuomitangu i o 430 km, od Pekinu. Sytuacja Chin Czang-Kei-Szeka stała się ciężka. Rząd Kuomitangu podał się do dymisji. W tej sytuacji dla reżimu Czang-Kei-Szeka istnieje tylko jedyny ratunek — jawna interwencja militarna amerykańska. Interwencja taka mogłaby jednak spowodować groźbę wojny światowej i trudno wyobrazić sobie, by USA ryzykowało taki rozwój wypadków dla interwencjonowania w wojnie formalnie domowej. Zmiana reżimu w Chinach z Kuomitangu na ludowo-demokratyczny miałaby oczywiście decydujący wpływ na rozwój spraw w Azji, gdyż oddziaływałyby niewątpliwie na zradykalizowanie się społeczne Indii i Pakistanu.

PRZECIWKO DYSKRYMINACJOM HANDLOWYM

MIN. MODZELEWSKI wygłosił na posiedzeniu Komisji Gospodarczej Zgromadzenia ONZ przemówienie, będące poparciem zgłoszonego przez Polskę do porządku dzien-

neg punktu „o zarządzeniach dyskryminacyjnych ze strony pewnych państw, w dziedzinie handlu międzynarodowego, które przeszkadzają normalnemu rozwojowi stosunków handlowych i są sprzeczne z celami i zasadami Karty ONZ“. Min. Modzelewski m. in. powiedział:

„...W marcu 1948 r. Stany Zjednoczone wprowadziły ograniczenia eksportu pewnych towarów do niektórych obszarów świata, a m. in. do Europy. Zróżniczkowanie według obszarów geografii politycznej posiada już samo przez się znamiona dyskryminacji. Znamiona te potęgują się w bardzo silnym stopniu, jeśli zważyć, że Stany Zjednoczone odmawiają udzielania zezwoleń eksportowych wyłącznie w stosunku do krajów Europy Wschodniej, podczas gdy udzielają zezwoleń na wywóz analogicznych produktów do krajów, biorących udział w planie Marshalla“.

Doskonałym przykładem, jak funkcjonują amerykańskie ograniczenia eksportowe jest Polska. Polska nie może otrzymać w tej chwili zezwolenia na wywóz ze Stanów Zjednoczonych na około 70 artykułów swego normalnego przywozu z USA. Wartość towarów tych nie przekracza 10 milionów dolarów. Ponad 1/3 tych zamówień jest zaliczkowana przez polskich odbiorców. Zaznaczam jednocześnie, że amerykańskie sfery prerasyłowe zainteresowane w tych działach produkcji nie tylko nie sprzeciwiają się wykonaniu tych zamówień, ale wręcz podkreślają swoją gotowość eksportu.

Mamy tu typowy wypadek, w którym państwo, głoszące wszędzie, że jest szermierzem liberalizmu gospodarczego, działa wbrew własnym zasadom gospodarki liberalnej. Stany Zjednoczone kierują się tu względami politycznymi!

Albo nie dość na tym, Stany Zjednoczone starają się ponadto wszelkimi sposobami rozciągnąć zarządzenia dyskryminacyjne również na inne kraje, z którymi Polska utrzymuje stosunki handlowe i posiada nawet umowy dwustronne. To już w naszym przekonaniu gorzej, niż dyskryminacja...“

Wskutek tego Polska zgłosiła do uchwalenia przez Zgromadzenie wniosek potępiający jakąkolwiek dyskryminację handlową, mającą na celu stosowanie sankcji i wpływanie w ten sposób na politykę wewnętrzną poszczególnych państw, co narusza ich suwerenność i przeszkadza w odbudowie.

PODCZAS ŁAMANIA NUMERU...

1) 31-letnia rocznica wybuchu Rewolucji Listopadowej święcona była uroczystość — przede wszystkim w Moskwie — oraz w stolicach krajów demokracji ludowych. W Moskwie defiladę wojskową na placu Czerwonym przyjął marszałek Timoszenko, pamiętny dowódcą frontu ukraińskiego w okresie z przed Stalingradu. Przemówienie zasadnicze wygłosił min. Molotow reasumując gospodarcze, wewnętrzno-polityczne osiągnięcia oraz politykę i stanowisko międzynarodowe Związku Radzieckiego, zaznaczając przytem jego rolę, jako głównego czynnika organizującego pokój na świecie i inicjującego — acz bezskutecznie dotychczas — akcję rozbrojeniową i ograniczającą możliwości użycia bomby atomowej.

2) Rząd Polski wniósł do francuskiego MSZ-etu protest przeciwko szykanowaniu polskich górników we Francji w czasie ostatniego — nadal zresztą trwającego — strejku. Nota polska przytacza kilkadziesiąt wypadków aktów terroru fizycznego zastosowanych do emigrantów polskich. Wypada zaznaczyć, iż władze francuskie kilkakrotnie zapowiadały ostre represje w stosunku do cudzoziemskich uczestników strejków, ich w głównej mierze obciążając podejrzeniami inicjowania zajść.

3) Ostateczne wyniki wyborów na prezydenta USA: Truman — 23.667.727 głosów; Dewey — 21.542.581; Wallace — 1.116.379; Thurmond — 1.005.945.

4) Z dniem 7 listopada zniesione zostało na terenie państwa Izraela zarządzenie w sprawie zaciemnienia miast. Czyżby oznaczało to, iż rząd Izraela nie liczy się już z możliwością podjęcia przez wrogów większej akcji zaczepnej?

5) Z prezydentury Centralnego Związku Spółdzielczego ustąpił wicemarsz. Szwalbe. Stanowisko to objął Edmund Ochab.

OFIARA

na odbudowę świątyni to jeden z obowiązków katolika współczesnego

Z NASZEGO STANOWISKA

...SWEGO NIE ZNAMY

Mogło by się wydawać, że mit „kolorowego ulana” zalał się ostatecznie w psychice polskiej. Skończył się w krwawych dniach września 1939 roku tak samo chwalebnie i romantycznie jak trwał. „Kolorowy ulan” dokonał ostatniej, tragicznej szarży pod Kutnem, a generał Skotnicki, padając na czele Brygady Pomorskiej podczas przeprawy przez Bzurę oddał ostatni hold swemu patronowi — księciu Józefowi z nad Elstery. Ostatni obraz, przedstawiający polskiego ulana zapamiętała a bezradnie dęgającego lancą w żelazne cielsko niemieckiego czołga — jest zamknięciem najbarwniejszej serii batalistycznej, serii Suchodolskich, Michałowskich, Brandtów, Gierymskich no i oczywiście rodu Kossaków.

Mogłoby się wydawać, że mit „kolorowego ulana” nieuchronnie się skończył, szabla, lanca i czako ulańskie stały się już rekwizytami muzealnymi, czasem wypożyczanymi teatrom dla zagrania „Dam i Huzarów”, lub „Warszawianki”.

A jednak nie. Groźba posiadzenia narodu na koni i rzużenia do jakiejś nowej fantastycznej szarży, a może za przykładem Czarnieckiego, zdobywania zamorskich zamków jest widocznie w dalszym ciągu aktualna, jeśli nawet „Przekrój” zawiesz na chwilę kampanię propagandową witania się bez ucałowania ręki, by podjąć walkę ze zgrabnym wpływem legendy o Samo-Sierrze.

Z okazji ciekawego zresztą reportażu o uroclawsko-wileńskim rzeźbiarzu ludowym Janiunie - Pirsztelu, który w wolnych chwilach od innych zajęć rzeźbi w drzewie postacie lelkokonných i Hiszpanów, by odtworzyć malowniczą scenę Samo-Sierry — pan Stanisław Gaworek odsłania mroki naszej historiografii, demaskuje „idealny jak najbardziej bezsensowne i przegrane”, obala „dawno skompromitowany bałwochwalczy kult Samo-Sierry.

Jesteśmy szczerymi zwolennikami uczciwej rewizji naszej historiografii. Jesteśmy świadomi faktu, iż z przyczyn zupełnie zewnętrznych zostało wiele faktów historycznych sfalszowanych. Wiemy, że historiografia nasza była nieraz jednostronna, przesentymalizowana, przesiąknięta atmosferą szlachetczyzny, pisana „ku polchrześciu serc”, a nie dla nauki i przestrogi. Ale właśnie dlatego, że rozumiemy palącą potrzebę ponownego przeorania naszej historiografii — musimy tępić manię rewizjonerstwa. Dlatego właśnie, spieramy się o legendę Samo-Sierry, choć i ona wraz z całym mitem „kolorowego ulana” jest już dziś tylko rekwizytem muzealnym. Dlatego też nie możemy w tym sporze przejść do porządku dziennego nad faktem, iż autor artykułu w „Przekroju” choć chce obalać „bezsensowne legendy” z naszej przeszłości — sam dziejów własnego narodu nie zna.

Legionów Dąbrowskiego bowiem w roku 1808 już formalnie od siedmiu lat nie było. Pod Samo-Sierrą nie szarżowali ulani, tylko szwadron lekkokon-

nych gwardii Napoleona (szwoleżerowie), formacja stworzona w Polsce w roku 1807, w znacznej większości z ochotników, góry Samo-Sierra nazywają się Guadarrama, a nie Guadamarra, wreszcie, wbrew poglądom p. Gaworka wszyscy wybitni historycy wojskowi godzą się z pozytywną oceną bitwy, wyrażoną przez polskiego uczonego Kukieła: „Za stratę kilku dziesięciu ludzi i tyluż koni osiągnął Napoleon w ciągu 7—8 minut ogromny rezultat taktyczny; normalnie potrzebowaliby w tym celu kilku godzin walki i straty w ludziach poszłyby w tysiące”.

Nie zamierzamy tu bynajmniej rozprawiać ani o ówczes-

nej sztuce wojennej, ani o ówczesnej sytuacji politycznej.

Historia wojen stanowi część składową historii każdego narodu. Każdy, normalnie rozwijający się naród posiada swe wojenne tradycje, przedmioty swej dumy. Anglicy czczą Nelsona za Trafalgar, Wellingtona za Waterloo, Francuzi Bayarda, Joannę d'Arc, Napoleona czy Focha, Rosjanie mają swych bohaterów narodowych od Aleksandra Newskiego, przez Suworowa, Kutuzowa, Nachimowa aż do bohaterów ostatniej wojny. Nie ma najmniejszej racji, by upominając społeczeństwo o rozsądek i zarzucenie kultu bezmyślnego heroizmu — odmawiać mu jednocześnie tych wartości hi-

storycznych, które budują jego poczucie wartości dziejowej.

Z mitem „kolorowego ulana” wojować nie potrzebujemy, gdyż skończył się on sam. Niemniej w naszej historii wojskowej właśnie tradycje kawaleryjskie są najsilniejsze i najtrwalsze. Zarówno Kircholm, jak i Wiedeń, jak i Samo-Sierra są przykładami wyczynów z punktu widzenia wojskowego jak najbar dziej uzasadnionych. Może to być nawet dziwnym paradoksem, ale to nie Samo-Sierra, lecz kult kirasjerów spod Waterloo we Francji, legenda o „Lekkiej Brygadzie”, szarżującej przez nieporozumienie pod Balaklawą, tak znana i ukochana przez Anglików — mogłyby służyć jako przykład „brawury z samego zamilowania do brawury, do osiągnięcia błyskotliwego efektu za wszelką cenę”. I choć było tych grzechów sporo także i w naszej hi-

stori, to jednak trzeba umieć je znaleźć i we właściwym świetle narodowi pokazać.

Trzeba wpaść w naród polski poczucie politycznego rozsądku. Trzeba uczyć rozróżniać w naszej historii zdolność do poświęceń i do umiłowania własnej ojczyzny, nawet ponad własne życie, od próżnej fanfaronady. Trzeba wreszcie utwierdzić w społeczeństwie zdolność odróżniania walk celowych i moralnie usprawiedliwionych — od awanturnictwa i wybujałych narodowych ambicji. Tęgo wszystkiego jednak można dokonać z pożytkiem tylko wówczas, jeżeli odrzucimy od siebie pokusę taniej frazeologii.

Pragniemy, by naród polski szedł w przyszłość zdrowszy i silniejszy, niż był uprzednio, lecz zasobny we wszystkie wartości, które sobie zdobył swym tysiącletnim istnieniem.

alfa.

MACIEJ J. KONONOWICZ

Miłość

droga moja do ciebie — to było życie prawdziwe
walka — płomień w której się zawsze zwycięża
serce wtedy bije drapieżnie i kłiwie
i świeża krew ramiona szerzej rozpręża
miłość: życie bogatsze o nieznaną wymiar
ziarno które rozsądza jak dynamit ziemię
które drzewem — wulkanem rozrasta się w bezmiar
miłość to skok kiedy spadochron zawiedzie
kiedy w przepaść lecąc — zapomni się o śmierci
kiedy się pionem przez błękit i obłok przejdzie
kiedy się ziemię żywcem na wylot przewierci
miłość — to przeprosiny z bżmi i jaśminem
i pierwszy słowik poza słownikiem poezji
pierwsza wiosna prawdziwa pierwsza wiosna inna
i harmonia rozpięta w srebrnych dłoniach wierzby
miłość to barwny cień z witrażu skrzydeł anioła
to srebrny dzwoni dźwięk z księżycowych świetli
to ballada płynąca na tęczyowych kolach
naprzeciw snom i na spotkanie przeżyć

zmiadździć i rozgnieść ból co wargi parzy
krwawą smugę — słoną różę — płomień chłodny
wieczny niedosyt i wieczny głód wrażeń
usta twoje — usta bezbronne
dłonie twoje — wiatr aksamitny w żar słoneczny
dłonie twoje — jedwab — brzoskwinia — i fala
(płynie ląd — i płyną gwiazdy szlakiem mlecznym)
dłonie twoje — w dłoniach swych przepalam
ciemno — ciemno — laurowo — i — złoto
gdy się w głębię twych oczu zapuszczam
w szmaragdowy ocean — nocą
ustami — na usta

TADEUSZ CHRZANOWSKI

Do Ambrożego

Widzisz mój mądry towarzyszu — oto
drogę układasz przemyślnie i szybko
gdy ja się nagle zgubiłem i nie wiem
gdzie miała być, ta którąś mi wskazywał
przecznica.

Nie jest to łatwo mój spokojny druhu
dobrać, lecz również nie łatwo powtarzać —
są pewne drogi, których nie pomyśle,
lecz są i takie, które zawsze splączę —
choć napozór wydają się proste.

Mój niedościgły wzorze — oto wczoraj
urok kamienie starych mnie oślepił,
sprawdzałem sienie wystawne, widziałem
renesans obok śmietników.

I progi do mnie mówiły z oddali,
usłużne progi, wytarte jak wargi
bardzo sędziwego adwokata.

WOJCIECH BAK

Molo

Molo wchodzi głęboko w morze. Pogardliwie odrzuca poza siebie ląd, zakochane w pianie, słonym wietrze i huku morza. Te sosny pod stopami nie chcą powrócić do ziemi. Patrz na te belki, zanurzone po pas w wodzie. Ciało ich jest tak przesycone jodem, wichrem i burzami, że nie powróci im do towarzyszek/ Nie chcą gałęzi, wiewiórek i szpaków. One chcą tutaj zginąć. Gdy je wyrzuca, będą na wieczność słoną wonią wspominały fale, lot mew i niebo rzucone księżycem i gwiazdami w tańczący z zachwytu żywioł.

Wieczorem lubię siedzieć na końcu mola. Już wszyscy odeszli, zgasty ostatnie światła — jest tylko morze. Molo już przestało być drewnianym mostem — jest falą zastygłą.

Syn pół ornych, którego dłonie są oddane narzędziom kołby i orki, a stopy tęsknią do bródz nieruchomych i dróg niezmiennych, rozumiem was teraz — sosny, które rzuciłyście wszystko, by zbierać się z szumiącym żywiołem.

I was rozumiem zatopieni kapitanowie, którzy woleliście spocząć w ogromnym huku i w chłodzie głębin, w grobie godnym zwycięzców i odkrywców niż w piachu bliskich, załamywaniu rąk i dusznym grobie ziemi.

I was, młodzi chłopcy, których woła morze i porzucacie dom spokojny, czułą miłość żon, uśmiech synów — zakochani na śmierć w żywiole, jak sosny mola, żagle łodzi i księżyc i gwiazdy, od wieczora do świtu rzucające się w tańczący z zachwytu żywioł.

Wiem: nikt was nie powstrzyma — kochankowie fal, mew i burzliwych dróg, czekających odkrywców i zwycięzców.

Jan Gintuł

DO WIADOMOŚCI KATOLIKOM...

Poniżej drukujemy artykuł Jana Gintuła, przeznaczony na 30-letni jubileusz KUL-u. Spóźnienie w zamieszczeniu tego materiału wynikało z konieczności pełnienia przez „Dziś i Jutro” służby sprawozdawczej w czasie uroczystości żałobnych po śmierci ś. p. Ks. Kardynała Hłonda.

REDAKCJA

INICJATYWA

I TRUDNE POCZĄTKI

Październik 1918 roku. Czytając historię Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego mimowoli sprawdzamy datę jego powstania. Okazuje się, że tak, że istotnie październik 1918 roku. Wtedy dopiero trudno jest zrozumieć... Upartym i odważnym człowiekiem musiał być ks. Idzi Radzikowski, założyciel i pierwszy rektor KUL-u, realizując dzieło swych wieloletnich myśli właśnie w październiku ostatniego roku pierwszej wojny światowej.

Długo kleikował zamysł, powzięty zapewne jeszcze w Louvain, centrum odradzającej się tomistycznej filozofii, w kręgu orku genialnego umysłu kard. Mercier, i oto nagle przybrał konkretne formy przeobraził się w czyn w momencie, mogłoby się wydawać, najmniej odpowiednim, w jak najmniej sprzyjającej atmosferze.

Cóż z tego, że Karol Jaroszyński, ofiarował swój majątek na dzieło katolickiej oświaty. Trudności na jakie natknął się ks. Idzi Radzikowski nie były natury ani finansowej, ani politycznej. Rzecz prosta że ostatnie istniały również i nieraz stawały się przyczyną groźnych kryzysów — niezdoła jednak były sprowadzić ostatecznej klęski. Głównym wrogiem, z którym wypadło się potykać było własne społeczeństwo, określające się dumnie jako polskie i katolickie. W roku 1918 do wyjątków należało zaliczyć ludzi manifestujących otwarcie swą przynależność do katolicyzmu, traktujących go jako obowiązujący pogląd na świat. Podbarwiona bigoterią narodowo-religijną tradycja, pokutujące uprzedzenie dziewiętnastowieczne t. zw. wolnomyślnie teoryjki, i wierzących zaś nieprzekraczalną zaporą fałszywego wstydu — wszystko to tworzyło mur, który trzeba było zwalić aby mógł powstać i rozwijać się uniwersytet katolicki.

„Co ma religia do nauki?” — pytano, nie podejrzewając nawet istnienia pozytywnej odpowiedzi. Społeczne i kulturalne idee katolicyzmu nie dotarły jeszcze wówczas nad Wisłę, a dla nielicznych, śledzących pilnie przejawy życia katolickiego na zachodzie Europy pozostawały obce.

Jeśli dorzucić do tego pogląd społeczeństwa na sprawę materialnych podstaw uniwersytetu, prywatnej (III) jakby już nie wystarczającej, że katolickiej uczelni, otrzymamy dokładny obraz sytuacji w jakiej znalazł się ks. Radzikowski i szereg garstka otaczających go działaczy.

O ZROZUMIENIE
W SPOŁECZEŃSTWIE

W ciągu pierwszych dwudziestu niełatwych lat istnienia KUL-u powoli przełamano te opory, wyrobiono zrozumienie, zjednywano sobie przyjaciół i sympatyków. Przyszły rok 1939 — powstałe z ogromnym nakładem sił dzieło zostało zniszczone.

Tak wyglądało to zapewne w świetle obiektywnych faktów. A jednak mimo, że nie przeciąg pięciu lat zamarto życie w uniwersyteckich budynkach, KUL istniał, co więcej w swoisty sposób rozwijał się... Proces „uznania” KUL-u przez katolickie społeczeństwo ostatecznie

zakończył się właśnie w czasie ostatniej wojny.

W roku 1944 nie trzeba już było ludzi przekonywać, że oni pierwsi zaczęli się domagać reaktywowania uczelni, zrozumieli potrzebę jej pracy, doniosłą rolę jaką odgrywa nie tylko na wąskim stosunkowo wyścinku działalności naukowej, lecz w życiu wszystkich polskich katolików. I tak w innych choć niemięcej ciężkich niż w 1918 roku warunkach rozpoczął KUL drugi etap pracy.

Jesienią 1944 trudno było doprawdy wzbudzić w sobie choć odrobinę optymizmu. Dorobek dwudziestolecia, zwłaszcza materialny właśnie nie istniał. Zrujnowane budynki, plądrowane ciągle jeszcze przez szabrowników, brak pomocy naukowych, pracowni bibliotek i najdotkliwszy brak funduszy. Prawie cała Polska pozostawała jeszcze pod niemiecką okupacją... O powszechnym ubóstwie nie ma potrzeby przypominać. Jedynym kapitałem, jakim dysponował KUL w owym czasie był kredyt moralny w społeczeństwie no i zapał młodzieży i profesorów. Kapitał ten okazał się w zupełności wystarczający. W zdemolowanych salach rozpoczęły się wykłady. Nie wiadomo skąd zjawili się tłumy studentów, szybko ściągali dawni profesorowie.

DZIS...

Mińły cztery lata. Katolicki Uniwersytet Lubelski posiada w chwili obecnej pięć wydziałów: teologiczny, prawa kanonicznego, prawa i nauk społeczno-ekonomicznych, humanistyczny i filozofii chrześcijańskiej. Na wszystkie te wydziały uczęszcza 2.500 słuchaczy obojga płci.

Obawiam się, że dane powyższe znane są niewielu ludziom w Polsce. Wymieniam tu odrzucając wyjaśnienie, skąd tak niespodziewanie wyplęła ta dziwna trochę uwaga. Zwykło się u nas wyrażać zawsze poglądy krańcowe, ganić coś lub chwalić, popierać lub zwalczać przeważnie nie tylko bez gruntownej lecz przeważnie — żadnej znajomości rzeczy. Fatalne skutki takiego stanowiska znane są, zdaje się, aż nadto dobrze. Podobnie i w tym wypadku fakt, że uznaje się KUL za pozytywną ze wszechmiar inicjatywę, godną jak najszerzego poparcia, nie zwalnia nikogo z obowiązku (podkreślam to słowo — tak obowiązku) zapoznania się dokładniej z jego strukturą, działalnością i jej wynikami. Dopóki sypać się będą pieniądze do kwestarskich puszek, tylko dlatego, że „ksiądz powiedział z ambony” albo że „p. redaktor X. napisał przekonujący artykuł” pomoc jaką udzielamy KUL-owi będzie nie wystarczająca. Społeczeństwo katolickie, daleki jestem od prawienia moralów, musi poznać SWĄ uczelnię, związać się z jej pracą, tak jak uczelnia jest związana z życiem katolickiego społeczeństwa śledzi je i na potrzeby intelektualne reaguje.

UCZELNIA WSZECHSTRONNA

Na pierwszym miejscu znajduje się, nie tylko w podanym tu spisie, ale i w pracach KUL-u wydział teologiczny. Połączony on został niedawno z seminarium duchowym diecezji lubelskiej, co zwiększyło wydatnie ilość katedr, pozwoliło na prowadzenie dwóch kursów niższego i większego. Słuchacze rekrutują się spośród księży. Tylko spośród księży. To jednak nie wystarcza. W Belgii, Francji i innych krajach Europy słuchaczami

teologii są także świeccy. U nas ta rzecz jest nieznaną.

Wprowadzenie świeckich na teologię stanowi jedną z największych ambicji KUL. Tymczasem zaś przygotowuje się odpowiednią drogę, która doprowadzi w końcu do tego w naszych stosunkach niemal przewrotu.

Otwarto świeżo wydział filozofii chrześcijańskiej, na który uczęszczają już świeccy, co z westchnieniem ulgi należy podać do wiadomości. Program tego wydziału pojęty jest nader szeroko i na wskroś nowoczesnie, wystarczy wspomnieć, że w jego ramach uwzględnione są takie dyscypliny, jak antropologia, fizyka, fizjologia, biologia i t. p., przy czym dokłada się wszelkich starań, by jeszcze solidniej przygotowywać umysły słuchaczy do zagłębienia się w zagadnieniu filozofii.

Jednocześnie utworzono przy KUL-u trzyletni Instytut Wyższej Kultury Religijnej, kierowany przez rektora KUL-u ks. Słomkowskiego i obsadzony profesorami tegoż uniwersytetu.

Warto także zwrócić uwagę na wydział prawa kanonicznego, przeznaczony wyłącznie dla duchownych, chociażby ze względu na to, iż jest on jedynym tego rodzaju fakultetem w Polsce. O pozostałych dwóch wydziałach powiedzieć można, że zarówno humanistyka, jak prawo i nauki społeczno-ekonomiczne stoją na bardzo wysokim poziomie: nie różniąc się zasadniczo swym programem od uniwersytetów państwowych. Trzeba jednak przy okazji podkreślić duże znaczenie, jakie posiada pracująca w ramach wydziału humanistycznego sekcja pedagogiczna, wypełniająca poważną lukę, jeśli chodzi o kadry nauczycieli i wychowawców, a zwłaszcza katolickich. Wreszcie wspomnę o ciekawym eksperymencie, jakim jest zorganizowane przy wydziale ekonomiczno-społecznym dwuletnie studium zagadnień społecznych i gospodarczych wsi, mające na celu, cytując statut studium, „z jednej strony zapoznanie z potrzebami społecznymi i gospodarczymi wsi pracowników państwowych, samorządowych i spółdzielczych, pracujących na wsi, z drugiej strony przeszkolenie naukowych działaczy wiejskich, społecznych i spółdzielczych”. Tyle informacji o pracy poszczególnych wydziałów. Miejmy nadzieję, że w bliskiej już przyszłości uzyska K. U. L. dwa jeszcze wydziały: przyrodniczy i tak bardzo potrzebny, medyczny.

WYCHOWANIE SPOŁECZEŃSTWA
I PRACA WYDAWNICZA

Niemal równocześnie ze wznowieniem działalności przez KUL-u, odrodziło się i jego Towarzystwo Naukowe. Także i na tym terenie wypadło się borykać z olbrzymimi trudnościami. Jakże bowiem prowadzić można pracę naukową w klimacie, gdzie troska o spanie, jedzenie wysuwa się na plan pierwszy, a brak bibliotek i laboratoriów stawia w ogóle pod znakiem zapytania jej owocność. Przewyciężono jednak i te przeszkody i w ciągu roku Towarzystwo Naukowe ruszyło naprzód z równym, jak przed wojną rozmachem. Wygłoszono w Lublinie szereg popularnych wykładów przeznaczonych dla jak najszerzych rzesz ludności, otwarto instytut antropologiczny - socjologiczny, przedsięwzięcie niebylejakie na normalnie nawet pracującym uniwersytecie, a co dopiero wśród podobnego ogromu zniszczeń. Wznowiono działalność wydawniczą...

Wydawnictwa KUL-u już przed wojną cieszyły się zasłużonym uznaniem zarówno ze względu na swą treść naukową, jak i wzorową szalę zewnętrzną. Po burzliwym, pełnym zmaganiach okresie, który nazwać by można w skrócie „walką o pieniądze i papier”, wydawnictwa Towarzystwa Naukowego KUL-u w coraz większej ilości zaczęły pojawiać się na rynku księgarskim. Trudno niemiernie zdać sprawę z wszystkich tych publikacji, ukazujących się w ramach dwóch serii, z których jedna nosi tytuł: „Wykłady i przemówienia”, druga zaś: „Źródła i monografie”. Gwoli publicystycznej uczciwości należałoby zrecenzjonować kolejno wszystkie te pozycje nie pomijając żadnej najcieńszej nawet broszurki i wtedy dopiero już nie rozprawiać o pożytku, jaki przynoszą do wydawnictwa, lecz po prostu skierować do Towarzystwa Naukowego najszersze wyrazy wdzięczności w imieniu wszystkich, profesorów, studentów i zwykłych ludzi szukających odpowiedzi na dręczące ich pytania.

Niedostatek miejsca nie pozwala na przytoczenie bodaj bibliograficznego wykazu, to też pragnę chociaż skromnie zorientować czytelnika w dorobku wydawniczym Towarzystwa Naukowego KUL-u, przytoczę tu kilka pozycji, nie kierując się zresztą w ich doborze żadnym osadem krytycznym. Po prostu dobierano te z nich, które zestawione obok siebie dadzą wyobrażenie o skali poruszanych problemów. Cytuję zatem: Dr Jan Czekanowski, prof. KUL — „Podstawy teoretyczne antropologii i ich konsekwencje”, Jan Pańdowski, prof. KUL — „Literatura a współczesność”, Dr Czesław Skrzyszewski, prof. KUL — „Rehabilitacja ekonomii”, Dr Ignacy Czuma — „Moralny koszt współczesnej wojny”, Dr Jan St. Łoś — „Sprawa agrarna w Rzymie w I, II wieku przed Chrystusem”, ks. dr Tymczak — „Pierwiaszek religijny i narodowy w psalmach”, Dr Zdzisław Papierkowski — „Co prawo karne zawdzięcza psychologii” i t. d. i t. d. Tyle, jeśli chodzi o serię przemówień i wykładów, a przecież są jeszcze „Źródła i monografie”, gdzie każdy tom zawiera cenny materiał z różnorodnych dziedzin, że wspomnę tylko o dwutomowej pracy ks. dra Józefa Pastuszki p. t. „Psychologia ogólna”. Wniosek brzmi krótko, wierzę, że kiedyś sformułowany zostanie oficjalnie i uroczyste przez powołane do tego czynnik: Towarzystwo Naukowe KUL-u dobrze zasługuje się nauce polskiej i rodzimej myśli katolickiej.

PODSTAWY MATERIALNE

Miesięczny budżet KUL-u wynosi 5 milionów złotych, po stronie wydatków „to strasznie dużo”. A właśnie nie, w najlepszym razie nie zbędne minimum. Zresztą nie łatwiejszego, jak zorientować się w poszczególnych pozycjach. I tak wynagrodzenia pracowników, tj. profesorów, wykładowców, asystentów i funkcjonariuszy administracji wyrażają się sumą 2.550.000 zł, do czego doliczyć należy jeszcze m. w. 600.000 zł, potrzebnych na pokrycie ubezpieczeń społecznych. Indentadura wydatkuje w ciągu roku 3 miliony zł (światło, opa, transport). Remonty gmachu uniwersytetu, domu akademickiego i konwiku dla księży studentów dochodzą do 2 i pół miliona rocznie. Na stypendia przypadają 2 miliony i proszę sobie nie wyobrażać, że kwota ta dystrybuowana jest w odcinkach, zapewniających dobrobyt: stypendium miesięczne wynosi bowiem od 3 do 4

tysięcy zł. Uzupełnianie zdewastowanego w czasie wojny inwentarza pochłania około 2 i pół miliona zł rocznie. Koszty budowy biblioteki i domu profesorskiego wymagają preliminowania rocznie co najmniej 10 milionów. Na zakup książek przeznaczają się rocznie 3.900.000 zł, przy czym uwzględniając, że w książki te mają być zaopatrzone poza biblioteką główną, jeszcze 9 bibliotek i 54 zakłady, suma ta przy obecnych cenach wydaje się śmiesznie niska. Jeśli zaś doliczymy wszelkie wydatki na pomoce naukowe, fundusze emerytalne i tysiące innych nawet często nieprzewidywanych — to owe horrendalne 5 milionów momentalnie wyda się zupełnie, jak już pisałem, nie wystarczające.

Największą zasługą KUL-u jest sam fakt jego istnienia, stałego podnoszenia poziomu pracy i nieustannego rozwoju, fakt, że posiadamy w Polsce prawdziwy katolicki uniwersytet. W czasach współczesnych na całym świecie bujnie rozwija się katolickie życie religijne, kulturalne i społeczne. Polskie społeczeństwo katolickie nie może, nie wolno mu, pozostać w tyle za innymi. I właśnie jedyną placówką, która zapewni dotrzymanie kroku wielkim przemianom, jakie obserwujemy codziennie na kuli ziemskiej, jest w Polsce KUL. Przez KUL prowadzi droga do wytworzenia pełni kultury katolickiej w Polsce.

Przez długie lata, bo aż do wybuchu wojny KUL stanowił jedyny ośrodek uniwersytecki, czy określmy to szerzej, kulturalno-naukowy na wielkim obszarze kraju, pozabawionym poza tym jakichkolwiek placówek tego typu. KUL, można śmiało zaryzykować to twierdzenie, poza swym ogólnopolskim znaczeniem odegrał wielką rolę kulturalną na terenie lubelszczyzny i przyległych ziem. I rolę tę kontynuuje nadal. Świadczy o tym, chociażby rzucający się w oczy duży procent studentów — pochodzenia chłopkiego.

Na czym polega sens istnienia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, jakie są jego zadania w skali już nie narodowej, lecz ogólnoludzkiej, na czym polega w ogóle sens nauki katolickiej? — Niech mi wolno będzie przytoczyć słowa wielkiego kancлера KUL-u Jego Eksc. ks. biskupa Wyszyńskiego:

„Jak w złą dziś rzecz dla najprostszego obywatela jest poprawne myślenie otoczenia, zdrowy światopogląd, pełna prawda, jamy sąd o każdej sprawie. Raktunkiem dla nas jest naczelna Prawda, wiążąca każdą myśl, wszystkie sprawy ludzkie z Bogiem. By ocalić kulturę, ludzkość od skłócenia, rozbitcia i unicestwienia, trzeba uwierzyć, że Bóg jest Panem wszystkich nauk. On uzdrowi myśl ludzką. A to zjednoczy ludzi w ich dążeniach, pracach, trudach, planowaniu, reformach i przebudowie świata.

Dążenie do Prawdy, do współżycia w spokoju, ładzie, znajduje jednoczącą siłę w Bożej Mądrości. Stąd wyższa Uczelnia Katolicka, rozprowadzająca światło mądrości Bożej do wszystkich zakątków wiodzy ludzkiej, rodzi nadzieję nie tylko jednostek, ale i uspokojenia świata. Dzięki temu Katolicki Uniwersytet tak głęboko wchodzi w życie społeczeństwa i każdego człowieka. Pracuje bowiem dla lepszej przyszłości.

Prawda Boża, gdy zdobędzie umysły — zrodzi dobro, pokój.

Katolicy! Otwórzcie nauce drzwi do Prawdy Bożej!

Posłajciele Dobro i Pokój!”

Megafony uliczne krzyczały wte dy o nowych podbojach na wschodzie, agencje zachodnie podawały cyfry o niekończących się zerach. Ilość dział, bomb, samolotów. Jak ktoś gromadził przez lata stopy chróstu utrzymywał go w stanie suchości, by, kiedy przyjdzie potrzeba, wybuchł, ogarnął i szczył.

— „Nie tędy droga, nie tędy — pisał Laguna. I patrząc na podkurzonego Buddę przypominał sobie współczesnego wyznawcę Ahimsy. To może zwyciężyć — notował. Za sady hinduizmu o nie czynieniu zła...”

Zaczął cytować — „Dyńmianą cechą nie stosowania gwałtu, jest wzięcie na siebie dobrowolnie cierpienia”. Bezorężna wojna narodu, który od wiek wieków wierzy w wędrówkę dusz i uważa życie jedynie za zwiewne majaki, nie mieszczała się w cyklu Europy. Wiedział o tym. A jednak stwierdzał. „Nikt nie zaprzeczy niepodległości Indii, jak i przeobrażeniu stosunków społecznych. Dzieło Mahatmy jest dziełem z tego świata. Zadaje kłam machiawelskim doktrynom despotyzmu i przemocy.

Ghandi obraca w niwecz mit dyktatorów. „I dalej... „Pamięć o wojnach, które przeżywamy zblaknie we foliach tysiącleci. Nie wiem, czy ostoi się choćby, jako przestroga. Ale jeśli świat ma iść ku lepszemu, ku wysublimowaniu człowieczeństwa, niech wie, że w dobie seryjnej produkcji środków zażywania, w dwa tysiące lat po Genesareth, myśliciele nie objęci pożogą stawili na nowego Mesjasza. Proroka spod znaku wyrzeczenia się (Ahisma), prawdy (Satyra) i panowania nad sobą (Brahmacharya). Oto droga”.

Wszakże w okresie tych zapisów nad Dniestrem, Dunajem, Wiśłą i Loarą rządziła, wydawało się wszechwładnie prawda inna. Pozor nie niepodzielna. Wiedział o niej Laguna. Ach żałujecie, żeście nie widzieli go, jak stał przy ulicy Żelaznej w dniu, w którym paliło się ghetto, żałujecie, żeście nie widzieli tego co myśli... Nie można — po wiecie — widzieć, co myśli. A jednak można było... Starczyło spojrzeć jak stał i skamieniałymi oczyma patrzył na domy, z których dym świrował przyziemie, okna, z których skakała wprost na bruk obłądana, tropiona zwierzyzna. Chciał widzieć zewsząd, by więcej doznać, więcej napisać... Pojechał na Muranów. Mury stały postrzępione, z balkonów bezwładnie zwisały ciała. Tłum cyrkulował, przyglądał się jak widowski.

— Przecież i to ludzie — westchnęła nabożnie jakaś kobiecina.

— To Żydzi, panusiu... Żydzi...! zachichotał jakiś wyrostek. Wtedy trzeba było zobaczyć profesora. Skurczył się w sobie, zawstydzony jakby, przygarbił jeszcze i zgaszonym wzrokiem powiódł wkrąg.

Tego dnia jakoś nie umiał nic napisać. Tylko patrząc w stary rodzinny album przypominał sobie skądś wyblakły i jakże leciwy elementarz, z którego to uczył się, dzieckiem jeszcze będąc. Przypomknął oczy, dojrzał i zapisał śpiesznie:

„...bo nie Sybir ani knuty, lecz Narodu duch zatruty to dopiero bólów ból...”

Cóż więcej o nim rzec można? Czy działał, spytacie, w podziemiach? Nie! Uczył młodzież, zbierał, jak wiecie, materiały i pisał dzieła pośmiertne. Im lub sobie. Komu więc?

Czasami sporządzał artykuły do prasy tajnej. Uderzały one jasnością myśli, znajomością psychiki i siłą wyrazu. Nikt by w zmurszałym przecież staruszkę nie dopatrzył się tego wyrazu buntu i na-

Janusz Rychlewski

SARDES GORE!

(opowieść z tomu pt. „Człowiek z gutaperki“)

dziei, jaka stawała się udziałem jego pióra.

Tak mijają lato, piąte lato wojny. Pisaliśmy już, że cyfry wieku profesora wynosiły końcówkę daty styczniowego powstania. Bał się tego roku... Był przesądny co do cyfr. To jedna z jego niewielu słabości. Choć przecież 13 marca 1881, kiedy to się rodził, na ulicy Gonczarowa, w Petersburgu całym, ba w całej Rosji przeogromnej huczno było i trwożliwie. Nie z racji jego narodzin. Gdzież tam. Tego właśnie dnia organizacja terrorystyczna dokonała zamachu na Aleksandra II. Śmierć cara nie mogła noworodkowi zwięzić, czy rozszerzyć możliwości życiowych. Mogła wszelako, gdyby w to kto wierzył, zrobić z niego coś w rodzaju katastroficznego pomazańca. Dlatego może bał się swojej sześćdziesiątej trzeciej jesieni, jakby mu wróżbę złowieszczą przynosiła i tych „czterdzieści cztery imię ich nieznanie“.

Od Bóg wie kiedy warszawskim sąsiadem o ścianę był profesorowi 70-cioletni dozorca Matysiak. On to zwykle zaczynał pogawędkę od „panie redaktorze”, czym oddawał jak mniemał, sąsiadowi należne mu uznanie.

Matysiak miał twarz puciołowatą, był krępkiej budowy o harmonijnie przygarbionych plecach, siwym zarostem, takich oczach i fryzurze. Na głowie nosił maciejówkę, którą zależnie od sprawozdania jakie składał z wycieczki po mieście, przesuwał od potylicy na czoło, lub na odwrot. Tego dnia jakiś wzburzony przydreptał z miasta. Zapukał, i nim mu odpowiedziano naparł na kłamkę i wszedł.

— Wie redaktor co?... Całą noc jechały... oczy powiadam panu takie — tu ręką ściągnął skórę w dół co dało wyraz skośności. A gęby... panie mój, co za mordy.. Z giwerami jedzie to... Tak przez brzuch i dawaj! Byle dalej! Fetur psia jego... Zaraza...

— Ukraińcy? — nagabnął profesor, rad, że się czegoś dowiaduje.

— Pfuj...! Plugawstwo! A ile tego?

Laguna wiedział, na co się kroi. Ostatnie afisze zdarte ze słupów przyniósł mu wczoraj jeden z uczniów. Treść tam była potwornie łagodna i odnosiła się do dystryktu tu warszawskiego by dobrowolnie szedł na okopy. Oczywiście pod rygorem zakładników, i „widma bólszewickiego niebezpieczeństwa“.

— Jakby tak co do czego, to z tego wszystkiego, za pozwoleniem, widory. Matysiak pulchną ręką otoczył pokój pozostawiany półkami pełnymi książek, globusów i map. Spośród nich wyróżniało się czyste szkło dużej wiszącej fotografii. Był to portret pięknej, czarnobrewnej dziewczyny ze związanymi z tyłu włosami, spojrzeniem acz z boku, a jednak twarzą w twarz. Dziewczyna mogła być w wieku dojrzewania i była jakby świadoma swego powabu. Usta lekko rozchyłone z kaprysu lub kokieterii, soczysty miały smak. Bufiaste naramienniki sukni i mocno wcięta talia, w miejscu gdzie obraz się kończył poślizkiły wilgocią czasu, określały wiek zdjęcia na pięćdziesiąt lat wstecz.

— A pan redaktor w razie co, to przygotowany?

— A no — odpowiedział i oczy obu spojrzwały na fotografię. — Jeszcze to zabiorę — mruknął wspinając się lekko, by ją zdjąć. Kiedyś wspinał się chłopcem jesz-

cze będąc w petersburskim saloniku, kiedy pytał matki „a gdzie te ludzie jadą na tlatfach“? — Jak ten czas leci!

— Tak panie Matysiak, wszystko się powtarza. — Dozorca pokiwł głową na znak potwierdzenia, pokręcił się i wyszedł, by przynieść nowe wiadomości. Laguna otarł rękawem zdjęcie, przyjrzał się, jakby nieznanym dojrzał szczegół jej urody i otworzył pakowny neseser w płóciennym pokrowcu. Pełno w nim było brulionów, pełno nanizanego, na maczkiem zapisane stronic życia ludzi widzianych przez tyle lat i tyle, tyle faktów, które dawno uleciały w niepamięć żyjących, lub poszły w ziemię ze zmarłymi.

W walizce tej oblepionej pokruszonymi starościami etykietami hoteli, połowy Europy, z tamtych, dobrzych dni, tkwił cały dorobek, cała miłość starego człowieka. Pomiędzy własne swoje pamiętniki, tłumaczenia z dzieł czekających na wydawcę, Laguna wiedział, że kronik z lat międzywojennych i okupacji nie prowadził nikt tak dokładnie jak on. Ani tej kolekcji obwieszczonych. Więcej nawet. Że krzywa upadku etyki Niemców była w jego pracy wykazana skrupulatnie, potknięcie po potknięciu, aż wreszcie padła w rynsztok.

Było to rok wstecz, kiedy sędziwy pisarz słysząc echa salw likwidowanego ghetta przewertował pamiętniki i na pierwszym tomie z trzydziestego dziewiątego roku napisał znany nam tytuł: „MORALNI KASTRACI“ i podtytuł: „Sagen sie mir warum? „Pytania tego nie pozostawił bez odpowiedzi, on, badacz, analityk i znawca... I jeśli myślał czasami o sobie w tym zestawieniu, to, żeby walizy tej nie stracił. Nie dla siebie tylko...

W południe zaszedł do cukierki przy Mokotowskiej, tam, gdzie zwykł był spotykać Ryszarda, trzydziestoletniego redaktora jednego z podziemnych pism, jemu to od czasu do czasu nadsyłał cenne artykuły. Szczęście mu tego dnia sprzyjało. Nie w cukierce co prawda, ale wprost na ulicy wpadł w ramiona młodego człowieka. Ten wziął go pod pachę i z miejsca półszepem wyjąwił.

— Rad jestem, nie wiedziałem gdzie szukać redaktora.

— A co, potrzebny?

Po kwadransie, kiedy zjawili się w mieszkaniu jakimś na Polnej, dowiedział się o co chodzi. Szło o wystylizowanie i podpis odezwy starszego pokolenia, inteligencji... Powstanie mogło wybuchnąć tego dnia lub nazajutrz.

Nowoprzybyły otarł czoło pełne zmarszczek i milczał. Długo milczał. Komitet redakcyjny, który był właśnie w komplecie trwał w oczekiwaniu.

— No więc... zagadnął Ryszard. Wtedy Laguna wstał, wyprężył przygarbione plecy, oparł się o poręcz krzesła i patrząc w przestrzeń, najniebezpieczniej w świecie pokiwał przecząco głową. Ruch ten skądś był zapożyczony.

— Moi panowie! To szaleństwo! Gdybym mógł, to pisałbym odezwy co was powstrzymać. Czy wiecie co tu się stanie — spojrzął przez okno na Politechnikę. — Tu gruz... Wszędzie gruz. Znacnie to! I trupy... Nadęte, opuchnięte, cuchnące padliny... Z czym panowie, z czym...? — Kolegium redakcyjne powstało z miejsc.

Dokończenie

— Stary mantyka — usłyszał na odchodnym. — Stchórzył — poprawił ktoś drugi.

Szedł szybko przed siebie... Dwa sprzeczne uczucia walczyły o lepsze... Wiedział, że zawiódł tamtych chłopców w momencie, kiedy był im potrzebny najbardziej, kiedy mógł służyć doświadczeniem i po godą swojej sędziwej tężyzny... Za wiódł ich... „Tchórz, mantyka“. Nie to go paliło wstydem. Stał wyżej. Bolało go, że nikt z tych kilku zapaleńców nie poparł jego zdania, nie uzasadnił jego obaw, choć musiał je czuć.

Było południe... Słońce prażyło bez przerwy, ulice były lepkie od kurzu i nieprzewiewne. Laguna wiedział o wszystkim... I o tajnej mobilizacji i wypadkach po mieście, o syrenie porannej i prawdopodobnej godzinie wybuchu...

Szedł śpiesznie... Zaglądał w twarze przechodniom... Starał się odgadnąć ich najbliższą przyszłość. Na widok dwu podnieconych, szybkim krokiem śpieszących młodzieńców zaniepokoił się. Dojrzał ich na barykadzie w chwale przegranej. Roztańcowały mu się myśli. Dojrzał nagle bloki silnych i zdrowych domów w żalosnym zwalisku, rozszerebotane tysiącami nóg, bruki w martwocie pomoru. Bał się śmierci miasta.

To co zaszło nie zaskoczyło go zgoła ani rozmiarem, ani grozą. Nie wiele się znając na strategii przewidział był przecie w swoich zapisach, że wał Wisły może być dla Sowietów barierą, przy której będą musieli odetchnąć, podciągając zaplecze labory.

To też stary belfer, stetryczwały „mantyka“ dwoił się w sobie i łamał. Kolekcjoner aktów bezceństwu wroga, miał swoje z nim po rachunki.

A bał się przy tym rozgrywki o wpływy, na szalę której oby nie złożono wartości najwyższej narodu.

Chciał przeciwdziałać, powstrzymać, choć całym sercem był przecie z nimi. Wysmiano go, wzgardzono.

ROZTAŃCOWAŁO SIĘ ZŁE

Od pięciu dni już nic nie stoi na przeszkodzie...

Nocą, kiedy ustalo jakby granice kul, staruszek pakuje bruliony swe, listy i fotografie owinięte w popękane smużki jedwabnej matynki i małą śmieszną figurynkę, w jeden neseser podróżny. A potem po omacku wychodzi z tej pracowni, której wyłaniające się półki ksiąg zbieranych przez całe życie wyszczerzały mu zęby grzbietów w odbłasku lun.

— To redaktor idzie? Dokąd to? — W bramie uściśniętą pulchną dłoń Matysiaka. — I jak to, tak wszystko na pastwę? — Nie odpowiadział. Skorzystał z niskiego szumu samolotu, by wyjść na ulicę. Ludzie stali pod domami... Czasami od niechcenia szczerknął pocisk, na co inny odpowiadał, czasami rozgadkały się całą grzędą i milkły.

Noc chyliła się ku świtowi.

— Jeśli w ogóle, to teraz — pomyślał. Zwarł się w sobie, przyczaił i śmieszny truchtem przebiegł wskroś. Walizka ciężka była. Dopadł do którejś z bram przeciwnych i jął rozpytywać, którego na Polną.

— Stary przyk z walizką... wieszysz go... bohater...!

— Którędy? — napierał.
— Po co? Tam bój!
— Właśnie! — na nic innego nie zdobył się, tylko na to „właśnie“. Stuknęli się w głowy przeczorni ludzie i pozwolili mu iść.

Piwnicami jakich domów szedł, którą się przedzierał i jak długo, nie wiedział chyba sam. Dość, że dotarł. Pokój ów sprzed tygodnia, zaciszny gabinet z biblioteką wyglądał jak rumowisko. Poprzewalany do cna, rozpruty, jakby nie redakcją już był, a rowem strzelec kim. Na oknach leżały wory z piaskiem... Na podłodze zalewy oliwne, a pośród śpiących po kątach chłopców stał, rozebrany na części erkaem ze zdruzgotaną łufą. Laguna znalazł wszak kogoś z wówczas obecnych. Ten go nagabnął:

— Teraz dopiero?
— Czy już po niewczasie?
O nie, ale inna broń...

— Nieszczęścia są parzyste — bez przyczyny pomyślał profesor. Był i tu niepotrzebny... Wycofał się nie miał zamiaru... Tylko tę wależkę obnosił jak świętość, by snąć rysy nie poniosła.

Redakcji już dawno nie było, przeniosła się w głąb miasta. A to miejsce stało się linią. Bój szedł o Politechnikę... Już kilka dni... A tam podobno kilkadziesiąt skrzyżnię z Muzeum ukryli Niemcy w lipcu. Dzieła sztuki, rzeźby, obrazy... Laguna wierzył pogłoskom. Widział się jeszcze potrzebnym. Skoro tylko odbiją gmach, zabezpieczy to, wywiezie... Uratuje jak swój neseser.

Nie dali mu karabinu. Bo ani chciał, ani umiał się z nim obchodzić. Biedny stary... Nosił wodę, prał bandaże, za słaby, by dźwigać rannych. Więc im ulgę tylko sprawiał krzątaniem najniższych, babskich posług. Widział w chłopach tych niedoszłych swych wnuków. Odsyłał go na tyły. Kilkakroć. Odmawiał.

A tymczasem zmagania były coraz krwawsze. Z fasad domów porobili się ceglaste rzeszota... Ciemny tynek Politechniki pełen był białych ran. Coraz ich przybywało.

Byli wszak w Politechnice. Był i Laguna. Nie znalazł jednak skrzyżnię. Pewno w oficynach, lub za kopane może...? Nie starczyło czasu by je odnaleźć... Musieli się cofnąć... Laguna pierwszy raz był w ogniu... Bezbronny, zawadzający wprost... Chłopcy z kłęczek mierzylili, podrywali się, biegli przez okna którąś w wyłomy... Grały granaty, płaszczyły się kule o kamień, przyskał tynk... Jęczało i wyło...

Nasi muszą się cofnąć... Przebiegają ulicę i stamtąd... Laguna zapamiętał ciągnie przez jezdnię popartzonego chłopaczka, któremu bułka przysła w ręce... Kule padają na wyścigi... Jedna zaszyła się jak w puch... Profesor nie wie, że wlecie już nieżyjącego... A jego omijają...

Wpada do bramy... Już ją tara sują. Biurka, fortepiany, skrzynie i tafle bruku... Wróg napiera... Gnie się barykada, zza której nie sposób mierzyc... Laguna biegnie na piętro... Odnalazł... jeszcze tam stała, w szarym, wyblakłym pokrowcu, pękata, staroświecka... Zno si ją i stawia u wezglowia chłopca...

— Żyje, czy nie żyje? — bada puls.

W bramie hałas nie do zniesienia. Barykada trzeszczy.

— Gra... na... ty!!! — pada komenda.

Kilku chłopców podrywa się i odbezpieczają. Którędy rzucić? Wtem robi się wyłom w bramie... Ciężki pocisk rozbił górną skrzynię. — tam... tę... dy...! Jeden z chłopców podrywa się i drapie na sterzę mebli.

— Osłoń się!
Wybuchy tuż za ścianą... Profesor nie może wymacać pulsu... Sły

Artur Hutnikiewicz

TOM ESSAYÓW WACŁAWA KUBACKIEGO

Krytycy literacy przeżywają w chwili obecnej swoją dobrą godzinę. Prywatne firmy wydawnicze i spółdzielnie księgarskie rzuciły w ostatnich miesiącach na rynek czytelnicy szereg okazałych tomów, poświęconych sprawom literatury. Po dawniej wydanych zbiorach Zawodzińskiego i Czachowskiego ogładaliśmy ostatnio w witrynach księgarskich studia Ryszarda Matuszewskiego i Kazimierza Wyki o literaturze powojennej, „Zagadnienia i postacie” Wojciecha Bąka, essaye i szkice Pawła Hertzka, Owa passa na krytykę literacką to zjawisko godne szczególnej uwagi i podkreślenia, jeśli zważymy, że przy małej chłonności i nikłym stosunkowo zainteresowaniu naszego rynku czytelniczego dla dzieł tego rodzaju imprezy wydawnicze wzmiankowanego typu połączone są zawsze z pewnym ryzykiem ze strony wydawcy.

Wśród tej essayistyki powojennej studium Wacława Kubackiego*) należy się pozycją wyróżniać. Wyróżnia je bowiem zarówno rozległość tematyki i rozmaitość poruszonych problemów, jak też rzadko w zbiorach tego typu spotykana niepowściągnięta erudycja i metodyczna sumienność.

A więc najpierw rozległość tematyki i szerokość zainteresowań: literatura polska, francuska, włoska i hiszpańska. Autor wykazuje całkowitą swobodę i doskonałą znajomość przedmiotu zarówno wtedy, gdy pisze o współczesnej literaturze polskiej, jak wówczas, gdy pochyla się przed twórczością Mauriaca, Carvan-tesa i Prunosta i wypowiada o nich sądy ważne i zawsze oryginalne. Współczesność jest mu równie bliska i rzetelnie znana, jak średniowiecze, renesans i romantyzm. Kubackiego interesują na ogół zjawiska wielkiej miary, osobistości twórcze czołowe, reprezentatywne: Żeromski, Strug, Dąbrowska, Iwaszkiewicz, a z obcych Proust, Mauriac, Dante i Papini, Cervantes i Unamuno. Co ciekawsze jednak, że o każdej z tych „gwiazd” pierwszej wielkości potrafi powiedzieć zawsze coś nowego, coś odkrywczego. Jego uwagi krytyczne obnażają mechanizm twórczości omawianych pisarzy w najistotniejszych punktach.

I tak np. studium o „Przeziębienie” Żeromskiego jest rewelacyjne. Kubacki wychodząc z założenia integralnej jedności wewnętrznej dzieła literackiego wyjaśnia osobliwość: morfologiczne tej komedii i jej powikłania ideologiczne przez analizę konstrukcyjnych założeń. Wykazuje dowodnie, że „Przeziębienie” narodziła się z ducha retoryki. U podstaw jej konstrukcji tkwiąca dialektyka sofistyczna zaważyła ujemnie na całości i zniweczyła ostatecznie siłę końcowego wydzwieku ideowego sztuki. Zwrócenie uwagi na elementy retoryki, tak przemożną odgrywającą rolę w całym dorobku twórczym autora „Dumy o hetmanie”, to niewątpliwie poważny krok

*) Wacław Kubacki: Krytyk i twórca. Łódź, 1948, Wyd. Wład. Bąka, str. 311.

czy tylko ochrypli głos biegnący ku barykadzie:

— Weź to... —

Za późno się spostrzegł... Przez mury przebiegł dreszcz... Ponowny... Z powąży jak w klepsydrze krucho posypał się tynk.

Bezradnymi rękami obmacał wkrąg... Nie było...

W wylocie bramy jakiś zapaleńca walił granaty przez otwór i robił uniki, znów się unosił, i znów grzmiało z tamtej strony... Pukleciem była mu stara pękata walizka...

Profesor skulił palce rąk i wesał je z przerażeniem w usta... Od dychał krótkimi haustami... — Eugene... — wyseplenił starczo.

Pocisk ulicznego działka był celny. Parę konwulsyjnych drgawek powstańców i pierze maczkiem pisanych strzypów... Staruszek ręce wyciąga do jednego z nich, i drżącymi, nie może uchwycić motyla...

Janusz Rychlewski

na drodze ku bliższemu poznaniu artystycznych założeń sztuki pisarskiej Żeromskiego.

Szkic o prozie Iwaszkiewicza dzięki bogactwu spostrzeżeń, dzięki wielokierunkowemu spojrzeniu na dzieło wybitnego pisarza jest chyba najpełniejszą syntetyczną charakterystyką twórczości autora „Dionizyj”. Nawet krótki artykuł o Strugu jest zastanawiający w swoich ostatecznych sugestiach i wnioskach. Oto ten pisarz tak mocno związany z partią i do ostatka wierny swojej politycznej ideologii, uchodzący dotąd za przedstawiciela literatury wybitnie społecznej, okazuje się nieoczekiwanie kimś całkowicie innym, prawie nieznanym: indywidualistą i psycholog, pochylający się ze skupioną uwagą nad zagadką duszy ludzkiej.

Podobnie w studiach dotyczących literatury obcych nie jest Kubacki bynajmniej pośrednikiem jedynie i popularyzatorem najnowszych ciekawostek. Jest poważnym badaczem. Rozprawa o Mauriacu, to pozycja o wybitnym znaczeniu nie tylko w polskiej literaturze krytycznej o tym pisarzu, ale zapewne i francuskiej. W świetnej i, co najistotniejsze, w przekonująco udokumentowanej analizie krytycznej odtąd autor jedną z najbardziej zastanawiających właściwości dzieła Mauriacowskiego: jaskrawej, biologicznej naturalizm, tak sprzeczny pozornie z postawą ideową autora „Czarnych aniołów”, pogrążonego całkowicie w metafizyce grzechu i świętości. Analiza zaś metody twórczej prowadzi, w ostatecznej konsekwencji do wyjaśnienia owej pesymistycznej tonacji dzieł pisarza, którego przed ostatecznym zwątpieniem w celowość walki człowieka z naporem zła ratuje wiara w cudotwórcze działanie Jaski.

Odrębną grupę stanowią w książce studia poświęcone nie osobom, lecz zagadnieniom. Wśród nich są również znaczeniem podjętego problemu, jako też imponującą znajomością przedmiotu skupia na sobie uwagę szkic wstępny o „Krytyku i twórcy”. Odwieczny antagonizm między twórcą „natchnionym rewelatorem spraw boskich”, a krytykiem, co w odwiecie za własną „bezpłodność i niemoc twórczą” szuka rekompensaty w zawistnych atakach na dzieła poetów, ów bezzasadny spór, sprowokowany przez inspiracyjną teorię twórczości, został w studium Wacława Kubackiego przedstawiony wiernie w swym historycznym przebiegu. Historyczne zaś ujęcie problemu pozwoliło autorowi odkryć swoisty rytm zjawiska. Oto ilekroć razy zwyciężały w dziejach europejskiej kultury tendencje racjonalistyczne, tylekroć razy krytyka zagarniała poezję. Tak było w starożytności, w epoce klasycyzmu i pozytywizmu. Kiedy natomiast podnosił się protest przeciw nadmiernym uroszczeniom rozumu i powrotna fela mistyki ogarniała jednostki i społeczeństwa, odrzucał krytykę i proklamowano hasło swobody. Dziś słabnie napięcie stosunków między twórcą i krytykiem. Obie dziedzin twórczości znajdują równą rację istnienia w potrzebie społecznej.

Studium zadziwia erudycją i szerokością odczytania. Zwraca też uwagę metodyczna precyzja i estetyczne przygotowanie autora. Te dwie cenne właściwości, tak rzadko niestety spotykane u większości krytyków współczesnych, wykazuje Kubacki we wszystkich swoich studiach. Nie ma w nich nic z dyktantyzmu, z impresji, publicystyki i dziennikarstwa. Każdy sąd udokumentowany bystrą analizą lub umiejętnym zestawieniem cytatów. Umiejętnym — podkreślam to — bo Kubacki doбира na poparcie swych spostrzeżeń cytaty zawsze ciekawe, ilustrujące trafnie to właśnie zjawisko, na które zwraca uwagę, stąd lektura tych materiałów dowodowych, niekiedy bardzo obfitych nie nuży. Ta staranność dokumentacji zasługuje na szczególne podkreślenie tym więcej, że wielu krytyków wykazuje nazbyt często zadziwiająco bez troskę, gdy idzie o rzeczową motywację ogłaszanych wyroków.

Kilkakrotnie zwróciłem uwagę w toku tych sprawozdawczych wywodów na erudycję autora. Erudycja jest znamiennym wyróżniającym studium Kubackiego. Pod tym względem zajmuje autor omawianego tomu stanowisko bodajże wyjątkowe wśród krytyków współczesnych. Rzuci się w oczy ta odrębność po-

zycji, gdy zestawimy np. książkę Kubackiego z niedawno wydanym zbiorem innego, rówieśnego mu reprezentanta krytyki uniwersyteckiej Kazimierza Wyki („Pogranicze powieści”). Erudycja ma niewątpliwie swoje dobre strony: pogłębia obserwację, pozwala widzieć zjawiska we właściwych proporcjach, zastrzega krytycyzm. W rozprawach ściśle naukowych, co zwracają się do wąskiego kręgu specjalistów, jest niewątpliwie na miejscu. W studiach przeznaczonych dla szerszych kół kulturalnych czytelników, co interesują się sprawami literatury, jest mniej wskazana. U Kubackiego jest czasem jej trochę za dużo. Nadmiar elementu erudycyjnego odbiera niektórym jego essayom lekkość i wdzięk, znamiona konstytucjonalne tego właśnie gatunku krytyki. Jest

Jerzy A. Górski

W PAŁACU POD GRUSZĄ

„Bardzo podobała mi się ta książka — bardzo ładna — oświadczył poważnie 10-letni chłopczek, któremu poprzedniego dnia dałem do przeczytania „Pałac pod Gruszą”. Przytoczona wyżej opinia bynajmniej mnie nie zaskoczyła, zgodziłem się z nią całkowicie i bez zastrzeżeń. Zresztą, przynajmniej się szczerze, mimo zatajenia faktu przed moim małym rozmówcą, że „Pałac pod Gruszą” przeczytałem z dużym, a nawet, zważywszy własny wiek, zbyt wielkim zainteresowaniem, niemal że jednym tchem. Nie wiem, na jakich przesłankach opierała się decyzja jury przyznającego nagrody w konkursie zorganizowanym przez „Naszą Księgarnię” — w każdym razie nie ulega wątpliwości, że książka p. Korczakowskiej zasługuje w pełni na przyznanie jej wyróżnienia. Dawno już naprawdę wśród naszych wydawnictw nie spotykało się równie wartościowej pozycji. Sądzę, że ocenę tę potwierdzić mogą wszyscy najgorliwsi konsumenci tejże literatury, tzn. ludzie, tzw. „dorosli”.

Powojenna literatura polska, zarówno dziecięca jak i młodzieżowa (granica jest tu zresztą nader niewyraźna) opiera się przeważnie na wznowieniach, nb. niezawsze szczęśliwych. Nowości z tej dziedziny widzimy na rynku wydawniczym stosunkowo mało — ciągle jeszcze mało sąźnistych artykułów wołających o „godziwą strawę duchową dla młodzieży”, pojawiają się książki: nieudolne, grafomańskie, nudne, a często nawet szkodliwe. Tymczasem dyskutuje się coraz goręcej, ogłasza nowe konkursy (ostatnio już z uwzględnieniem zamówienia społecznego) i w rezultacie grozi nam poważne niebezpieczeństwo: nieliczni pisarze dziecięcy z prawdziwego zdarzenia gotowi jeszcze pewnego dnia ugrzęznąć na stałe w publicystycznym — krytycznym trzęsawisku.

Warto dokładnie zastanowić się nad pozytywnym wrażeniem, jakie pozostawia lektura „Pałacu pod Gruszą”, uwzględniając jednocześnie dwa punkty widzenia: przede wszystkim młodego czytelnika, a następnie dbałego o moralne zdrowie społeczeństwa krytyka.

Akcja „Pałacu pod Gruszą” toczy się na podwarszawskiej wsi: jesienią i częściowo zimą roku 1945. Głównym bohaterem jest Zbych. Kilkunastoletni harcerz, uczestnik Powstania. Przygody Zbycha stanowią właśnie treść tej powieści. Właściwie należałoby powiedzieć — nie przygody, a zwykłe codzienne zdarzenia, jakich uczestnikiem był, a w każdym razie mógł być w owym czasie każdy rówieśnik Zbycha. I to właśnie trzeba uznać za wielką zaletę książki.

Dziecko, trzymajmy się już tego skróconego terminu „starszych dzieci”, lubi spotykać na kartach książki bohaterów w krótkich spodenkach — wykazała to także przeprowadzona w ostatnich miesiącach ankieta. Skoro jednak pisarz decyduje się na osnucie swej powieści wokół przeżyć dziecięcych, musi zdać sobie sprawę z czekającej go ciężkiej próby. Każdy błąd psychologiczny, każda nieprzemysłana skłama wg „dorosłego szablonu” sytuacja zostanie momentalnie do-

niewątpliwie rzeczą trudną pisać z wdziękiem o sprawach poważnych, nie ślizgać się po powierzchni zjawisk, a jednak nie nużyć. Kubacki posiada tę umiejętność interesującego, choć nie powierzchownego pisanie, czego dowodem choćby wspomniana już rozprawa o Iwaszkiewiczu, tylko nie zawsze z tej umiejętności korzysta. Interesujące w zasadzie studium wstępne o krytykach i twórcach, czy nawet owa „Quasi una fantasia”, fikcyjna i pomysłowo skomponowana rozmowa księdza Jundziła z cieniem Ludwika Spitznagla na temat odwiecznej kontrowersji „klasyków” i „romantyków”, nużą w czytaniu obarczone nadmiernym balastem erudycyjnych cytatów i reminiscencji.

Na koniec jedną jeszcze właściwość sztuki pisarskiej Wacława Ku-

strzeżona i napiętnowana. Nasze dzieci odbiegły daleko od „milusińskich” z przed czterdziestu a nawet dziesięciu może lat. Na zaczarowane królestwo i wawelskie smoki patrzą z coraz bardziej ironicznym uśmiechem, bajkę traktują tylko jako bajkę, czują jej fałsz tak dotkliwie, że przeważnie omijają najdyskretniej nawet urojony morał. Wyobraźnia dziecięca uległa daleko idącym przeobrażeniom. Krzywa na wykresie wieku czytelników bajek opada coraz niżej. Dziś dziecko szuka w swej lekturze tego samego, co i my: prawdziwych, żywych ludzi.

I tu wypadnie mi na marginesie zanotować drobne i w tym zakresie jedyne potknięcie się autorki „Pałacu pod Gruszą”. Chodzi o postać piekarza, denerwującą dzieci, postać bezsprzecznie realną, rażącą jednak swym językiem, denerwującą dzieci stosowaniem składni dobroduszyńskich, pocziwców z innych opowiadań dla młodego wieku. Jeśli więc bohater ma być kolegą ze swej szkoły, którego można pewnego dnia poznać na boisku czy w parku, rzecz prosta, że i jego przygody muszą ograniczyć się do właściwej skali i to z dwóch względów. Po pierwsze: by ułatwić dziecku „wzycie się” w atmosferę opowiadania, a tym samym bezboleśnie i ze skutkiem robić wychowawczo umoralniające zastrzyki (uważam, że sprawa dydaktycznego podłoża literatury dziecięcej została definitywnie rozstrzygnięta i nie podlega dyskusji), po drugie... Ołów drogi punkt wypadnie potraktować nieco obszerniej, wże się on ponad to bowiem również z problemem tła powieści.

Opisy tzw. „wielkich przygód” dokonywanych przez najpozytywniejsze nawet typy bohaterów nie zawsze kształtują wyobraźnię dziecka w kierunku pożądanym. Rozwijają nazbyt bujnie fantazję, co w rezultacie przynosi bądź wyładowania w postaci ucieczek z domu i nieznanych figlow, bądź też urabia grunt pod historyczny werteryzm wieku dojrzewania.

P. Korczakowskiej udało się jednak uniknąć poważniejszego jeszcze niebezpieczeństwa. Zwróćmy uwagę na fakt, że akcja powieści: rozgrywa się w czasie okupacji, że Zbych brał udział w Powstaniu, że występują tam Niemcy, partyzanci, spadochroniarze itd. Reminiscencje Zbycha z pola walki i są jednak nader słabe. Ledwie naszkicowane, koczmar niemieckiego okrucieństwa unosi się nad wsią, czujemy to dobrze — nie jednak brutalnych scen opisów egzekucji, walki, czy chociażby bicia człowieka. W tej książce dziecięce dionie nie zadają śmierci.

I teraz zdaje się przyszyła właściwa pora na dokładniejsze zdefiniowanie charakteru „Pałacu pod Gruszą” — jest to prawdziwa powieść harcerska. Harcerz Zbych spełnia swe obowiązki wobec Ojczyzny i miłuje bliźniego. Osoba jego jednak jest naświetlona w ten sposób, by nie zacierając tradycji lat walki z okupantem, mogła posłużyć za wzór nowemu pokoleniu harcerzy, którzy marzyć będą o górskiej wspinaczce i dalekiej żegludze, nie wiedząc nic o „rozkoszy” strzelania do człowie-

backiego należy tu podkreślić: syntetyczność, esencjonalność stylu. Kubacki jest niekiedy aż nazbyt zwięzły. Jego tok myślenia bardzo skondensowany, przynoszący jedynie jak gdyby samą esencję myślową z pominięciem ogniw pośrednich rozumowania, stanowi dla czytelnika jeszcze jedną trudność do przezwyciężenia. Ta bowiem lapidarność i oszczędność wypowiedzi nadająca każdemu słowu i zdaniu znaczenie istotne zmusza do ustawicznego napięcia uwagi, a w rezultacie, na dłuższą metę nieuchronnie nuży. Stąd książka Kubackiego nie należy do kategorii „łatwych”, które się pochłania „jednym ciągiem”. Czytać ją można w „małych dawkach”, wymaga namysłu i skupienia.

Ostatecznie mimo podniesionych zastrzeżeń jest w dorobku krytyki naszej pozycją wybitną. W swoich najobszerniejszych, najdojrzałszych studiach przynosi trwałe i nieprzećiętne wyniki sumiennej analizy; w rozprawach drobniejszych dostarcza mnóstwo zawsze orzeźwiających podnień intelektualnych.

Artur Hutnikiewicz

ka, „Pałac pod Gruszą” daje przykład jedynego właściwego rozwiązania problematyki wojennej prosum Delphin; nie jest książką zagrożającą wchodzącą w życie generacji, a tym samym społeczeństwu. — książka próbką wypełnioną śmierciobójnymi bakcyliami, jak „Kamienie na Szaniec” i tyle innych.

Nasuwa się jednak pytanie, czy w ogóle wskazane jest wprowadzenie okresu okupacji jako tła do powieści przeznaczonej dla dzieci, nawet tzw. starszych. Otóż wymieniona już poprzednio ankieta wykazała, że spora, choć na szczęście nie przekraczająca 50%, ilość dzieci domaga się książki o tematyce wojennej i okupacyjnej. Ządaniu temu trzeba zadość uczynić, w taki jednak sposób, by zaspakajając ciekawość i zainteresowanie czytelnika, tym samym nie rozbudzać ich jeszcze silniej. Pamiętajmy, że dziecko póty szuka odpowiedzi na dręczące je pytania, aż je znajdzie — obojętne gdzie i w jaki sposób. Kiedy zapyta się przeto: „Co robiły dzieci jak była okupacja?” — dajmy mu do ręki „Pałac pod Gruszą”, miast oczekiwanego nienawiścią i sadyzmem zbioru opowiadań „Serce i Granat” — podobno także „dla młodzieży”. Ośmielię się nawet posunąć jeszcze dalej w swych wnioskach i twierdzić, że książki w rodzaju „Pałacu pod Gruszą” udaremnią, a przynajmniej złagodzą reakcję psychiczną późniejszej lektury, nie wywołają skutków, jakich doświadczyło na sobie pokolenie okresu międzywojennego.

Przewijające się w lekturze postacie można podzielić na dwie grupy: ludzi dobrych i złych, typy negatywne i pozytywne. Przewróćmy ostatnią kartę uświadomiamy sobie, że złych wprawdzie nie zauważyliśmy, pod koniec lektury znikł jakoś, zatarli się w naszej pamięci. Zostali natomiast dobrzy, nie ci książkowo, cklewie idealni, ale zwykli uczciwi, choć niezawsze bezgrzeszni. I to ostateczne wrażenie stanowi jeszcze jeden sukces autorki. Odwieczna walka dobra ze złem znalazła i tu swe odbicie, nie wystąpiła jednak w formie jakiejś arcynowoczesnej transpozycji baśni o Kopicusku czy Babie Jadze. Nikt nie został pokonany ani ukarany w potocznym sensie tych słów. A przecież dobro wyraźnie triumfuje, Niemcy ponoszą klęskę, ludzie odnajdują swe rodziny, wracają do swych domów.

Weźmy jeszcze pod uwagę wydarzenia związane z chorobą Zbycha: dobre instynkty biorą górę w duszy pyszałkowanego Karola, Wojtek wraca na drogę uczciwości, „zła” Kowalowa ujawnia nagłe zupełnie człowiecze cechy. Jeśli dodamy do tego epizod z żydowską dziewczynką, postacią zakonnice i Krysty, atmosferę zyciowości, otaczającą Zbycha nętrudno doświadczyć sobie cel, jaki przyświecał autorce przy tworzeniu tej powieści. Cel konsekwentnie i bez reszty zrealizowany, albowiem morał — nazwijmy to tak po staroświecku — jak z lektury tej wynika, brzmi po prostu „ludzie są dobrzy”.

Zwycięstwo odniesione przez Zbycha nad wsią zawiądzoną on sobie

samemu: swemu charakterowi i nacechowanemu prawością i dobrocią postępowaniu. Jest to pewnego rodzaju norma w naszej literaturze młodzieżowej: żadnych dobrych wródek ani bogobojnych hrabin z białego dworku, ani innych cudownych przypadków, czy zbiegów okoliczności — dziecko o własnych siłach wygrywa decydującą bitwę.

Pogoda ducha, wiara w sprawiedliwość, skromność i nade wszystko miłość bliźniego — oto cechy, jakie za wszelką cenę przyswoić musi sobie nasza młodzież. A poza tym przechodząc do spraw bardziej prozaicznych, dziecko wyrobić w sobie musi chęć opanowania harcerskich, utylitarnych sprawności, stać się zaradne. I dlatego niech fascynuje

się urządzonym przez Zbycha „pałacem pod Gruszą”, niech marzy o tym, niech dąży do samodzielności i traperskiego stylu życia. Te marzenia doskonale dadzą się zrealizować bez nowej wojny i niezawodnie wyrugują tęsknoty za maszynowym pistoletem lub śmiercią na barykadzie. Zdać się, że naprawdę dłuższe wywody na ten temat nie miały by sensu.

Przy okazji warto tu podkreślić jeszcze pewien dodatkowy i „sensacyjny” szczegół „Pałac pod Gruszą” jest powieścią, którą bez cienia przesady nazwać można katolicką. Nie dlatego bynajmniej, że Zbych modli się przykładnie i że występują tam zakonnice. Jest katolicką, może zresztą mimo woli — nie przesądzam sprawy — mimo, że nie wi-

dzimy tam księży, ani Zbycha w ministranckiej komeżce (o pogwałconą tradycję rodzinnej twórczości katolickiej), lecz właśnie dzięki sugestywnemu klimatowi zwycięskiego dobra i podkreślenia najważniejszego czynnika gwarantującego człowiekowi: szczęście i powodzenie w życiu — miłości bliźniego.

Jerzy A. Górski

TYDZIEŃ KULTURALNY

50-lecie MOSKIEWSKIEGO TEATRU ARTYSTYCZNEGO

DNIA 27 października r. b. minęło pięćdziesiąt lat od chwili powstania najbardziej godnego uwagi teatru naszych czasów — Moskiewskiego Teatru Artystycznego. Przez pół wieku przeszedł ten teatr wielką drogę rozwoju. Nie ma kraju, dokąd nie dotarłyby jego słowa, gdzie nie słyszano by o jego wspaniałych inscenizacjach, które przeszły na zawsze do historii światowej sztuki scenicznej.

Od chwili swego powstania teatr ten nie był podobny do żadnego innego. Uczucie to narzucało się widzącej z chwilą, gdy przestąpił on próg teatru.

Zdanie to wyrażało istotę działalności Teatru Artystycznego; skłrzył jego nie „grali”, a jak gdyby żyli na scenie. Była to niebywała dotąd sztuka — sztuka autentycznej prawdy życiowej.

„...Wypowiedzieliśmy wojnę wszelkiej umowności w teatrze, bez względu na to, w czym się umowność przejawia — w grze, w inscenizacji, w dekoracjach, w kostiumach, w podejściu do treści sztuki”, — oto słowa jednego z założycieli Moskiewskiego Teatru Artystycznego, genialnego aktora i reżysera Konstantego Stanisławskiego.

Jednakże z zasady „prawdy życiowej”, którą wypisał na swym sztandarze twórca Teatru Artystycznego polegała nie tylko na prawdziwości szczegółów bytowania ludzkiego, na natury i siły gry aktorskiej, Moskiewski Teatr Artystyczny dlatego zyskał sławę teatru wielkiej prawdy życiowej, że poruszał w swych spektaklach aktualne zagadnienia współczesne, że głosił sztukę ludową, wyrażając istotne dążenia ludzkie.

Pierwsze lata Moskiewskiego Teatru Artystycznego związane są z imionami wielkich pisarzy realistów Czechowa i Gorkiego. Wysoki honor inscenizacji pierwszych sztuk tych wielkich pisarzy przypadł w udziale właśnie Teatrowi Artystycznemu. W pracy nad realizacją sztuk Czechowa i Gorkiego wyraziło się specyficznie, niebywale oblicze twórcze teatru.

Z plejady wielkich artystów współczesnych, wychowanków Teatru Artystycznego wystarczy wymienić takie gwiazdy, jak — Moskwin, Kaczajow, Tarchanow, Leonidow, Liliina, Kniper — Czechowa.

Obecnie oprócz tematyki radzieckiej poczemnie miejsce w repertuarze Teatru Artystycznego zajmuje dramaturgia klasyczna. Teatr zyskał sobie światową rozgłos jako „najlepszy interpretator społeczeństwa klasycznej, niezłapanych przedstawień” — zrodziło się na scenie Teatru Artystycznego po Rewolucji Listopadowej. Z pośród najwybitniejszych wymienimy inscenizacje powieści Tolstoj „Zmierzwiwanie” i „Anna Karolina”, repertuar dramatyczny Ostrowskiego, nowe sztuki Czechowa i Gorkiego, Szekspira, Dikensa, Beaumarchais i wiele innych.

W roku 1928 w trzydziestą rocznicę istnienia Teatru Artystycznego Maksym Gorkij pisał do kierowni-

ków teatru Stanisławskiego i Niemierowicza — Danzenko:

„...Nie zapominaj, nie jestem w stanie zapomnieć, jak ogromny i wspaniały jest wasz dorobek artystyczny, ile wychowaliście utalentowanych ludzi, jak szczerze wzbogaciliście kraj wspaniałymi artystami. Oto zasługa historyczna, którą szczerze się macie niezaprzeczalnie prawo”.

Pięćdziesiąt rocznicę istnienia Moskiewskiego Teatru Artystycznego obchodzono w Rosji bardzo uroczysto. W uroczystościach jubileuszowych wzięło udział wielu gości zagranicznych.

POWOLANIE KOMISJI OCENY PLASTYCZNEJ WYDAWNICTW I REPRODUKCJI

ZARZĄDZENIEM Ministerstwa Kultury i Sztuki powołana została komisja Oceny Plastycznej Wydawnictw i Reprodukcji. Komisja jest organem opiniodawczym Ministerstwa Kultury i Sztuki w sprawach oceny poziomu plastycznego wydawnictw i reprodukcji.

W skład komisji wchodzi dyr. Departamentu Twórczości Artystycznej oraz dwaj członkowie wyznaczeni z listy artystów — grafików, ustalonej na przeciąg jednego roku przez Ministra Kultury i Sztuki w wniosek

Zarządu Głównego Zw. Polskich Artystów Plastyków.

OPRACOWYWANIE BIBLIOGRAFII WIELKIEGO POMORZA

PAŃSTWOWE Archiwum w Szczecinie przystąpiło do opracowania bibliografii Wielkiego Pomorza. Do pracy tej posłużą dzieła niemieckie, rosyjskie i polskie, wydane do 1948 r. Będą również opublikowane bogate dokumenty, jakie posiada Archiwum, a odnoszące się do monografii historycznej miasta Szczecina. Najstarsze spośród nich po-

Wędrowki po scenach polskich

Kobieta we mgle — M. Rusinka

Znowu papremiera i znowu debiut. Tym razem jednak recenzent teatralny ma zupełnie inne warunki dla swej pracy. Odpadają wszystkie względy stosowane wobec ludzi, którzy swoim debiutem teatralnym wkraczają równocześnie po raz pierwszy w życie literackie.

Rusinek dawno już przeszedł przez wszystkie chryzy krytyki i, wolno mi przypuszczać, że każdy najsurowszy nawet osąd o swej nowej pracy przyjmie bez hysterii debiutanta, przyjmie, jak dojrzały pisarz.

W tej sytuacji nie potrzebuje się zastanawiać jaką przyjąć metodę dla krytyki, która niestety nie będzie, bo nie może być przyjemną. Nie potrzebne jest usypianie przed operacją (Irzykowski), niepotrzebne jest również uspokajające głaskanie czułym słówkami po dokonaniu bolesnym zabiegu.

Prosto i szczerze: debiut dramatopisarski się nie udał.

Trzeba być bardzo nałownym widzem, aby się nie zorientować, iż zasiadający do pisania swej sztuki autor miał koncept najwyżej na dwa akty (drug i trzeci). Tam miejsce się właściwie wszystko, co Rusinek chciał nam pokazać.

Ponieważ jednak teatr współczesny wymaga (jakichś to błęd okrutny) sztuki całospokalowej trzeba było wprowadzenie w akcję rozbudować do rozmiarów aktu.

Tak powstał akt pierwszy, którym Rusinek bardzo sprytnie usiłuje się wkupić w łaski widowni warszawskiej. I trzeba przyznać, że to zamierzenie udało się w pełni. Widz wprowadzony zostaje w dobrze podchwyczone i trafnie skarykaturowane życie współczesne. Kilka celnych dowcipów, (jeden z nich: amerykańskie papierosy szkodzą na serce, a krajowe na wszystko — zyska sobie na pewno powszechne prawo obywatelstwa), kilka wnikliwie podchwyczonych sylwetek dnia dzisiejszego (Burmistrzowa, Burmistrz, Goliński), wszystko to zapowiada wieczór bardzo interesujący.

We wstępie swej sztuki Rusinek dał dowód, iż mocno tkwi w życiu, że umie na nie patrzeć i potrafi je podać w artystycznej transkrypcji.

Niestety od momentu, kiedy elektrycznik teatralny począł opornicą przygotowywać nastrój na wejście pani Gorczyńskiej, jasne się stało, iż wepchnię się nas za chwilę w świat inny. Pierwszy antrakc minął w niepokoju, a bezpośrednio po nim nie przyszło rozczarowanie przyjemne.

Akt drugi to romans w złym stylu, romans obliczony na widza, którego trzeba utrzymać na krześle mocną dawką sensacji.

Rusinek złąkł się postawionego w akcie pierwszym problemu. Nie starczyło mu sił lub chęci na zajęcie sprawą tak trudną, na poniesienie odpowiedzialności za dalsze losy swoich bohaterów. Gmatwa więc całą historię, sprowadzając ją z płaszczyzny zagadnień etycznych w regony... chorzeń nerwowych. Jakże mało subtelny musiałby być widz, któryby się na tej ucieczce nie po-

znał, któryby dał się oszukać książką prof. dra Borszteina.

Lata wojenne rozdzieliły Annę i Adama. On spędził trudny czas w oługu, a żona, przetrwawszy jako cała okupację, została po powstaniu wywieziona do obozu, gdzie rzekomo zginęła. Takie przynajmniej świadectwo daje współtowarzyszka obozowej niedoli, Krystyna, która od lat dzielących kocha się w Adamie.

Po trzyletnim wyciekaniu Adam („potrzebna mi jest kobieta w domu”) decyduje się (po uzyskaniu oficjalnego świadectwa zgonu Anny) na małżeństwo z Krystyną. Wszystko wskazuje na to, że w małżeństwie tym kochać będzie tylko Krystynę. Adam wielokrotnie nagabywany o wyznaczenie, wymiaguje się odpowiedziami: bardzo wykretnymi.

Ślub ma być za tydzień. Jutro w miejscowej szkole śpiewu ma nastąpić uroczystość wmurowania tablicy pamiątkowej ku czci założycielki tej szkoły... Anny.

Przygotowania są posunięte tak dalece, że nawet treść mowy burmistrza na tę okazję została już ustalona i przez samą burmistrzową zaakceptowana.

Na ten to drażliwy moment wraca Anna. Zamierzenia Rusinka do tej pory są jasne. Według jego koncepcji ma dojść do konfliktu między trzema osobami, z których żadna pod wpływem „załamania moralnego”, nie zdaje sobie sprawy ze swych błędów, z których każda gotowa jest wolać: stała się rzecz straszna, ale przecież nie ma w tym mojej winy. Mało tego, Autor pragnie, by bierno „załamania moralnego” pozwoliło Adamowi usprawiedliwić Krystynę i odwrotnie.

Interesuje nas ta zagadka, Ciekaw jestem, jak też autor wybrnie z trudnej sytuacji.

I tu zaczyna się ucieczka.

Anna zostaje wyłączona z grona ludzi normalnych. Wraca ona bowiem chora na manię samobójczą, wraca do świata, który, trzeba zbliżyć okoliczności, zgodny jest z obrazem, powstałym w chorobliwej fantazji. Wszystko dzieje się tak, jak sobie uroila. Mąż zdradził. Kochanka w domu męża. I podczas kiedy Anna żyje majakami, Adam i Krystyna traktują ją poważnie i trącą głowę z podryw dla posiadanych przez nią wiadomości o wszystkim, co tu zaszło.

Rzecz jasna, iż w tej sytuacji problem powikłanego trójkąta staje się drugoplanowym, a na czoło za interesowań wysuwa się nauka o „anormalności” niektórych stanów psychicznych wywołanych przez minioną wojnę”. Rusinek zmienia się potrośze w Cwojdzńskiego, a dr Nowak jest nieudolną kopią Zygmunta z „Temperamentów”.

Jesteśmy świadkami polowania na efekty. Gonitwa za sensacją posuwa się, aż do tak banalnego tricku, jak groźba, iż za chwilę zostanie otruta przypadkowo Krystyna. „Światem przyciąga” pachnie na miłe.

Skończmy z fabułą. Anna wypija ukradzioną męzową truciznę. (Nb. inresuje mnie już dla kompletu jaką, chyba nie morfinę przeznaczoną

na zastrzyk — tę bowiem można spotkać tylko w ampułkach). Zamać samobójczy zostaje wcześniej wykryty. Pompowanie żółdka wywołuje wstrząs psychiczny, po którym Anna rodzi się do nowego życia. Trzyletni okres nienormalności znika bez śladu. Klekają przed nią kolejno: Adam i Krystyna, a ona wszystkim przebacza. Tylko dr Nowak odchodzi ze złamanym sercem, kochał się bowiem w pięknej pacjentce, ale bohaterstwo zrezygnował ze swej miłości.

Postawmy sobie proste pytanie: czy mogło się tak właśnie zdarzyć? Czy mogła zaistnieć przedstawiona przez Rusinka sytuacja?

Oczywiście że tak. Wszystko na tym świecie jest możliwe.

Więc skąd moje pretensje? Oto stał, że trzeba się było zdecydować: albo sensacja, albo sztuka z problemem.

W artykule dołączonym do programu pisze Rusinek: starałem się załamane moralnie postaci „Kobiety we mgle” ukazać pod koniec sztuki jako moralnie odrodzone”.

Ze słów tych wynika, iż autor chciał mówić o zagadnieniach etycznych, a to co ja nazywam sensacją — autor „Burzy nad brukiem” traktował tylko jako fabułę, jako środek prowadzący do celu.

Niestety fabuła (może wbrew woli pisarza) zwyciężyła dobre intencje. Ze starań nic nie wyszło. Nie widzę absolutnie u nikogo moralnego odrodzenia. Anna po prostu wyzdrowiała, Krystyna wprawdzie przyznała się do wszystkich swoich grzeszków, ale zrobiła to w obliczu nieuchronnej katastrofy swych planów, a Adam... Adam w ogóle się nie liczy. Jest on bezwolnym narzędziem w ręku losu, a sposób w jaki usiłuje dać do zrozumienia Krystynie, iż powinna sobie pójść w świat, że rola jej się skończyła, jest żenujący zarówno łopatologią reżyserską, jak i strukturą psychiczną postaci.

I tu dochodzimy do innej sprawy. Kreowanie postaci scenicznego problemu, za który odpowiedzialność autora wzrasta proporcjonalnie do zamierzeń tematycznych. Za wyjątkiem jako tako ulepionej sylwetki Teresy i za wyjątkiem Anny, która jako typ kliniczny, nie jest odpowiedzialna za swoje słowa i czyny, wszystkie osoby sztuki pasują, jak ulał tylko do dramatu sensacyjno-kryminalnego. Brak im zupełnie podbudowy psychologicznej — nie może być bowiem uznane żadną miarą za próbę pogłębienia psychologicznego Krystyny wpakowanie jej w usta naiwnych, sztucznie przypiętych (w dodatku sztucznie wypowiedzianych) komunałów.

Dużo niestety zastrzeżenia mam do dialogu „Kobiety we mgle”. I to dziwi mnie najbardziej. Na podstawie dotychczas ogłoszonych powieści miałem prawo uważać, iż umiejętność podania rozmowy należną do najlepszych autorów w rzemiołku pisarskim autora „Plutonu z Dziekła Eka”. Spotkał nas zawód. Dialog „Kobety we mgle” rażą jakąś dziwną nieporadnością i sztucznością. Zbyt często słyszy się na przykład

chodzą z XIII wieku. Wszystkie dokumenty zawarte są w 8 tomach.

SUKCESY SZTOMPKI

W HOLLANDII

W soli „Diligentia” w Hadze odbył się drugi z kolei koncert chopinowski Henryka Sztompki.

Publiczność stawiała się tak licznie, że musiano ustawić na scenie kilkadziesiąt krzeseł. Burzliwe owacje zmusiły Sztompkę do parokrotnego bisowania, podobnie jak na poprzednim koncercie w Amsterdmie.

„MICKIEWICZ — W CZESKIEJ TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ”

Z okazji 150 rocznicy urodzin Adama Mickiewicza Instytut Słowiański w Pradze przygotowuje wydanie w języku czeskim monografii prof. Mariana Szyjkowskiego pt.: „Mickiewicz w czeskiej twórczości literackiej”.

te mniej więcej słowa: Wiesz, kiedy się zastanowię (lub: kiedy pomyślę)... W życiu codziennym rzadko kiedy stosuje się podobne wprowadzenia.

O samym spektaklu trudno jest coś konkretnego powiedzieć. Nie wiadomo co sądzić o pracy wykonawców. Wydaje mi się zresztą, iż Rusinek pisał tę sztukę z góry przewidując jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą jej wystawienie w Teatrze Klasycznym, (który na szczęście odwołał w programie swą „klasycyzność”). Wynikła stąd podświadoma chęć, bardzo dla pisarza niebezpieczna, dopasowania tworzonych postaci do aktorów, którzy będą je ucieleśniać. Sztuka miała być wiążącą

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Bałk)

25

LOT JASKOŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Gdy Tadeusz milczał, ciągnęła:

— Są kobiety, które umieją sobie radzić z mężczyznami. Dziś w ogrodzie poznałam jedną taką, jeszcze młoda, ma ze czterdzieści lat. Nawet nieładna... Wróżka, wiesz, wróży z ręki, z kart. Ma narzeczonego lekarza, ten lekarz chce się z nią ożenić, a ona mówi, że to jej niepotrzebne, bo mąż nie jest nigdy dobry dla żony, czy to w prostym stanie, czy w wyższej sferze. Na żonach się oszczędza, żony są tańsze niż kochanki.

— Skąd ciocia doszła do takiej wiedzy?

— Wiedzy? Oh, przeżyłam sporo lat, dużo widziałam — pokiwała głową. Teraz bym umiała żyć, gdyby można było na nowo. Zresztą — dorzuciła — nie chciałabym wcale. Jeszcze raz młodość — nie, nie — broniła się przed tą pokusą.

Rozmowy z ciotką Kowalczykową działy na Tadeusza po powrocie z Włuk jak zimny tusz. Włuki z Ksawerym, z Alexem, Zary z wizją Danuty, siedzącej przy stole pośrodku ogromnej sali balowej, stawy z żaglami zielonych brzoź, opiętych na bielegach z daleka masztach — to się teraz oddało, stawało się nierzeczywiste. Więcej nawet, — skłamanie. Rzeczywistość prawdziwa była inna; środowisko, z którego wyszedł, środowisko ciężkiej pracy i u końca życia — wegetacji takich jak Kowalczykowa. Prawdą tego środowiska był Kowalczyk z huty Bankowej, wszyscy inni wreszcie — towarzysze. Krótko: towarzysze. Wspólny los, wspólna walka — właśnie przeciw tamtemu stylowi życia, przeciw tamtemu losowi. Nie można było pogodzić ze sobą Zarów i tego życia. To życie, do którego musi, powinna należeć przyszłość... Danuta, jakaż była rola Danuty? Pamiętał, że wracając z ostatniego swego pobytu w Zapaśnikach, tuż przed depeszą Moniki, powtarzał bezmyślnie, półgłosem: iść szybko i myśleć, o Dance. Iść szybko... Tak, pytanie zasadnicze brzmiało jednak — dokąd.

Dokąd — to jest jedyne pytanie życia. Nie wszyscy je sobie stawiają, tak czasem idzie się na spacer po parku, na chybił trafił. Jeżeli je sobie postawić, to jeszcze nie wiele oznacza. Wielu, gdy się im młodość kończy, rezygnuje. Narasta cienka błonka hipokryzji, złamanego losu, teatr, w którym występuje tylko jeden aktor i w dodatku się zgrywa. A nawet w najlepszym wypadku, gdy zostaje upór, pytanie jest nierozstrzygnięte na dale. Z życiem gra się w zakryte karty: wyciąga się z całej talii, jest w tym ciągnięciu sporo miejsca na przypadek, tym więcej że mamy do czynienia z dużą ilością jockerów. Zastępują wszystko, w zasadzie nie przedstawiają wartości. Złudzenie, które się rozprasza. Dopiero u progu śmierci, wtedy już wiadomo, taki był ten człowiek; profil zaczyna się rysować ostro, rysy kamienieją — jak na pomniku.

W gruncie rzeczy Tadeusz nie był ze siebie zadowolony, już nawet pominąwszy sprawę Moniki, owo zawieszenie między dwoma kobietami — nieco jak w przydługim filmie, gdzie reżyser nie może się zdecydować między dwoma wariantami scenariusza, co w końcu bardzo przewleka akcję. Ale socjalizm, odczucie socjalizmu. To powinno bardziej zobowiązywać, bardziej zaznaczyć się w stylu życia. Styl rewolucyjny, dążenie do jakiegoś a rebours, coś nie tylko z walki. Burżuazja też walczy — zaciekle, z otwartymi ustami, dysząc ze zniechęcenia. Chwyta się intryg, pospolitej chytrłości, fałszywej cnoty, wreszcie, gdzie inaczej nie można, płaci, pod wyższą pensję, jak pan de Renal zbuntowanemu hipokrycie, nauczycielowi swoich dzieci, Julianowi Sorel. Ze strachu, aby nie odszedł... Styl rewolucyjny, zupełnie co innego: jeżeli chytrłość, to maska ochronna na twarzy, poza tym — rewolwer w ręku i burza podniecenia w ustach, fala słowna jak u Jauresa. Zagrzewać, podpalać na rogach, być niebezpiecznym dla regime'u, być ściganym, tropionym, przekreślić możliwość własnej normalnej egzystencji — oto styl rewolucyjny. Postawić doprawdy wszystko,

jak Waryński. Przegrywać lub zdobywać — wszystko, stawka o wszystko. Choć zwycięska rewolucja nie może być nigdy podobna do marzenia o rewolucji, jej wynik jest mniej czysty jest zanieczyszczony chemicznie domieszkami z rynsztoków, ludzką ambicją, pozostałościami przeszłości. Na rewolucji też można robić interesy, a człowiek robiący interesy — jak Pawian, jak Pawian jest wieczny. Uniemożliwić normalność życia — oto jedyny sposób udaremnienia wszelkich interesów — w interesie rewolucji.

Właściwie, nie było nic podobnego. Ochrowski, pożałuj Boże, może kiedyś, w młodości: Los mówców rewolucji jest nieszczęśliwy, jest tragiczny lub trochę zabawny. Giń od kuli jak Jaures, gdy budzą śmiertelne, zwierzęce przerażenie w przewnikach. Lub stają się do końca tylko oratorami, idą na kompromisy jak Briand, w najlepszym razie stają się niedołęgami rewolucji jak Dąbski. „Nie mają za sobą nic prócz intelektualnej słuszności, a to jest mało, bardzo mało” — pomyślał Tadeusz.

Jednak, myśląc o sobie, musiał uśmiechnąć się kątem ust, ze skrzywieniem ubolewania, może nawet pogardy. Pensja w redakcji co miesiąc, własne mieszkanie, wizyty ciotki Kowalczykowej, i teraz Włuki, Ksawery Kunowski. Jakby na przekór wszystkiemu, zupełnie inaczej. Potem mandat w sejmie, jeżeli zostanie naprawdę zmieniona ordynacja wyborcza. Tylko jedno może się wnieść: wojna. Wojna będzie na pewno, wtedy się pójdzie na front. Plutonowy podchorąży Czelepiński, jakoś nie mógł dostać w rezerwie tej gwiazdki, na wojnie. Naturalnie, bez żadnych napoleońskich marzeń. Chyba, nikt w tym pokoleniu nie marzy o Bonapartem, jak w pokoleniu Juliana Sorel. Chociaż, kto wie — jeden człowiek: Toen. Zasmarkany Napoleon domowego faszyzmu... Nie był w gruncie pewien, kto z nich dwu jest bardziej lichym człowiekiem, czy Toen ze swoim arywizmem, czy on, Tadeusz, wrzekając się w praktyce stylu rewolucji, pędzący mały mieszczański żywot. Nawet w Danutę, to też było mieszczańskie, choćby ta ostatnia wizyta w Zapaśnikach. Przyjmowali go właściciele starzy Okrzejscy, coś pośrednio między dzierżawcą a rządcą, nalana czerwona twarz, długie siwe włosy, głośny śmiech. Niemal nie było możliwości zamienić choć kilka słów tylko z Danusią, w cztery oczy. Była wściekła, nie tała się z tym. Podwieczorek ciągnął się w nieskończoność, powiada, ciasto, masło, ser, kawa, śmietanka — rozpacz. Nie dziwił się, że Alex nie chciał tam jeździć. Danusia powiedziała, że od jesieni przeniesie się do Warszawy.

— Od jesieni będzie wojna — oświadczył Tadeusz.

— Nie, niemożliwe — poruszył się z niepokojem stary Okrzejski.

Żona go uspakajała, że właściwie wojna w trybie życia w Zapaśnikach wiele nie zmieni. Tylko godziny mobilizacji, potem będzie już jednakowo. Wojna przedstawiała się jej jako wielka zmiana, to było dla Okrzejskiej najgorsze. Spodziewała się jednak, że nieszczęście da się zlokalizować w czasie. I w przestrzeni: była pewna, że wojna ominie Zapaśniki. „My tu nawet do kolei daleko” — pocieszała wszystkich.

— Ty się na tym nie znasz — sapał Okrzejski. — Wojna! Kto to przeżyje. W każdym razie Niusi do Warszawy jechać nie pozwolę.

Powstała rodzinna sprzeczka na tym tle. Matka była niezdecydowana i zdaje się, zupełnie zawojowana przez córkę. Twierdziła, że Niusia najlepiej wie, czego jej potrzeba. Rodzice nie powinni przeszkadzać dzieciom. Teraz są inne czasy, dzieci wcześniej mają rozum.

— Ale nie baby! — Zaperzył się Okrzejski. — Baby nigdy nie mają rozumu. A kto nie ma rozumu, nie może przysięgać.

Razem — niesmak. Doprawdy, nawet wtedy się nie zatarł, gdy Danusia odprowadza-

ła go za ogród i powiedziała z lekkim wyrzutem:

— Czemu panowie wtedy nie przyjechali? Cały dzień się męczyłam.

— Ah, Alex nie mógł, a ja sam, cóż ja sam...

— Co też pan opowiada! Wie pan, chciałam nawet pojechać do pana do Żar, po południu. Zreflektowałam się, bo pomyślałam, że pan na pewno sam jak palec w Żarach nie będzie siedział. A jechać i nikogo nie zastać, byłoby przykro.

Siedząc przy pustym biurku, z rękoma splecionymi na piersiach, z oczami na fotografii Moniki, zastanawiał się, że właściwie to wszystko nic nie znaczy i że nawet nie ma w nim miejsca na wewnętrzny konflikt. Monika będzie mieć dziecko, w dodatku idzie wojna. Być w wojsku, to oznaczało jedno w każdym razie: nie mieć żadnej niemal wewnętrznej problematyki, słuchać rozkazu. Będzie wtedy wszystko jedno, pisać listy z pola do Moniki czy do Danusi. A nawet więcej, nie można tak pozostawić Moniki. Po ludzku, zupełnie po ludzku. W dodatku, cóż znaczy zakochać się — to znaczy chcieć tego. Zaczyna się od myśli o kimś. Jeżeli ich nie odpędzić, jeżeli ich nie zlikwidować, przychodzi jakby drugie stadium: pragnienie zobaczenia kogoś, porównania go z wyobraźnią.

Coraz częściej, aż w końcu wyobraźnia nie, rozprasza się jak mgła, gdy wstaje słońce. Zostaje już tylko rzeczywisty człowiek, obcy i osobny. Nie można się do niego dotrzeć, dostać jak przez namiętność, przez dotykanie, przez posiadanie. Potrzeba aktu fizycznego, potrzeba spełnienia jako zamknięcia całego cyklu. Wystarczy raz nie chcieć, gdzieś we wczesnym poranku. Tak, istnieje egoizm mężczyzny. W miłości — rozmyślał Tadeusz — wcale nie chodzi o tego drugiego człowieka. Jako ktoś obcy, odrębny — jest zawsze dokładnie obojętny. Nie chodzi wcale o to, aby go poznać, chodzi o to, aby go zdobyć, aby fizycznie mieć poczucie władania nad nim, to znaczy nad tym, co powstało i pozostało z wyobraźni — i wtedy wszystko się kończy, ustaje. Jest bez wagi, czuje kobieta. Dla mężczyzny istnieje tylko jego własna rozkosz, rozkosz — i to jest bezwzględnie mieszczańskie, wcale nie gorsze niż miłość Damiana. Co Damian wie o miłości? W najlepszym razie, że trzeba się rozebrać, wyjąć przede wszystkim zegarek, aby nie upadł na podłogę. Kiedyś sam się zwierzał, że miał w hotelu pyszną kobietę — „powiadam wam, wspaniała, co za biodra! — zegarek mi wypadł, tego dnia nie wziąłem dewizki, i szkiełko się zbiło. Musiałem go zaniesić do zegarmistrza. To słuchane szkło zepsuło cały numer” — przyznał z melancholią.

— Podnosiłem zegarek z podłogi, przyglądałem się, czy aby chodzi, czy sprężyna nie pękła. Złościła się na łożku, w końcu po wiedziała, że sobie pójdzie. No, tak jej nie mogłem wypuścić. Ale to już było dużo inaczej, nie mogłem sobie darować zegarka.

— Przez cały czas? — zapytał ktoś z drwną, może nawet bez drwny. Są ludzie, którzy cenią dokładność informacji.

— Przez cały czas, i nawet później jeszcze — przyznał bez namysłu.

Istniała jakaś określona analogia, uznał między położeniem, w jakim byli oboje, on i Monika, a tą sytuacją, jaką znalazł u Kunowskich we Włukach. Niepełna, bardzo niepełna, analogie nigdy nie są dosyć dokładne. Monika nie zdawała sobie sprawy z istnienia Danuty i nie powinna, na dobrą sprawę, o tym wiedzieć. We Włukach zarodkiem fermentu była Krystyna, był to ferment wewnętrzny, ściśle biorąc. Jak dalece Ksawery mógł być winien, owe dyskusje z wikarym? — nie przedstawiały przecież dla Krystyny żadnego niebezpieczeństwa, były jakimś marginesem w życiu Ksawerowego, jeżeli przywiązywał do nich wagę, to raczej uboczną. Mogło ją irytować, że krąg owych narad o nieśmiertelności duszy był dosyć wyłączny, dosyć hermetyczny, na tyle za-

mknięty, że się w nim już pomieścić nie mogła. Ale powód musiał być głębszy. Wyczuwało się w niej jakieś wielkie rozczarowanie, warunkami życia, Ksawerym. I Ksawery, całkowicie bierny, w jakiś hinduski sposób przyglądający się Krystynie, nie robiący nic, aby ją odzyskać, oddzielający się od niej. W wieczór, poprzedzający wyjazd Tadeusza, wynikła nowa sprawa, Krystyna chciała zaprosić na parę dni Rauchenberga. Tym razem Ksawery stanowczo się oparł.

— Tego nie zrobisz. Ja się nie zgadzam. Płacząc, ze złością, że łzami wściekłości w oczach:

— Jesteś zazdrosny? To śmieszne i niskie.

— To obojętne. Nie chcę go tutaj oglądać.

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Czy ty tego nie rozumiesz? Nie potrafisz nawet zacząć takiego wyjaśnienia. Powinnaś sama rozumieć.

— Aha, że niestosowne? Kpię sobie ze wszystkiego, co niestosowne. Będę robić zawsze to, na co mam ochotę.

Ksawery wyszedł wtedy z pokoju. Tadeusz nachylił się nad Krystyną, burknęła opryskliwie:

— Zostawcie mnie w spokoju. — Wyszedł do ogrodu i zastał Ksawerowego na rozmowie z ogrodnikiem Michałem. Ogrodnik rozwodził się o warunkach uprawy pomidorów, opowiadał, ile razy trzeba wysadzać w grunt cieplarniane rozsady, aby wzmocnić korzenie. Ksawery słuchał i dostrzegając nagle Tadeusza, powiedział:

— Chodźmy. To już kiedyś indziej, Michale.

Szli szybko, Ksawery nadawał ten pośpiech.

— Sam widzisz — powiedział — ale nie mówmy o tym.

Patrząc na Ksawerowego, Tadeusz pomyślał, że człowiek wtedy tylko może być znośnie szczęśliwy, gdy nie widzi żadnych nieprzyjaciół Pawian, on był jedyny w kręgu znajomych Tadeusza, qui ne voyait point d'ennemis. Co za głupawy rodzaj szczęścia. Szczęście z kropką hipokryzji, na sposób murzyński.

Adam przyjechał do Włuk w parę dni po wyjeździe Czelepińskiego, wślad za nim ścignął pan Pilawski, jego nowy nauczyciel. O Adamie trzeboby powiedzieć, że się bardzo zmienił — nie to, że na korzyść. Ludzie sądzą na ogół, że każda przemiana musi mieć znak matematyczny, dodatni lub ujemny. Nic podobnego, można po prostu zmienić swój gatunek, swoją wewnętrzną klasyfikację. Zrobił się z niego dość ponury młody człowiek, nieco wyłączony z obrębu zwykłego ludzkiego obcowania. Pojawił się szczególnie rodzaj nonszalancji i lekceważenia dla tej kategorii zjawisk, która miała dużo wspólnego z wiedzą, ściślej: z nauką. Było w nim znać łapczywość i jednocześnie ogromny wysiłek, aby jak najwięcej rzeczy w możliwie krótkim czasie pochwytać. Ksawery obserwował go dyskretnie, niemniej dokładnie, potem zajął wyczerpujących informacji o Adamie od Pilawskiego. Uczył się dobrze, pewne trudności miał z matematyką i językami, szczególnie z łaciną. Rodzaj braku pamięci, twierdzenia i dowody, słówka i reguły gramatyczne za szybko przelatywały mu przez głowę, bez śladu. Historia, polski, geografia — raczej to. Zresztą, interesowało go wszystko. Pan Pilawski łapał się za łysą głowę:

Co ten chłopiec wyrabia. Jakby chciał polknąć natraz całą literaturę. Przeglądałem jego książki, tam jest Sienkiewicz obok Wells'a Historii Świata, bardzo wiele z tego, co czyta jest poza jego możliwościami. Nie jest w stanie zrozumieć.

— To nic — przerwał Ksawery z nutą wyższości w głosie — niech czyta.

— Kiedy tak nie jest dobrze, on nie może tego materiału zorganizować. Już teraz jest chaotyczny, potem dojdzie jeszcze zarozumiałość. W ogóle, uważam, powinien mieć jakichś rówieśników.

— Skąd ich wezmę? Zarozumiały — nie, jeśli nawet, to mu przejdzie. Nie chciałbym, aby pan w tym chłopcu cokolwiek tamował. Niech się formuje trochę sam, sztuka polega nie na tym, aby mu przeszkadzać, raczej trzeba nim kierować, podsuwając mu kierunek.

(d. c. n.)

Czytelnik uważa, że...

„WIECZNIŃ POLSKIE...“ — CIĄG DALSZY

W n-rze 44 (152) „Dziś i Jutro“ umieściliśmy ocenę sławnego wejścia na Iglie WZO dokonanego przez dwóch studentów. Ocena ta wywołała replikę obu wspinaczy, których ciekawe choć zbyt obszerne listy z pewnymi skrótami, podyktowanymi brakiem miejsca, poniżej umieszczamy.

Dzisiejsza rubryka: „Czytelnik uważa, że...“ zapełniamy w całości głosami obrońcy uczestników Wrocławskiego „wyczynu“. Resztę korespondencji przeznaczamy do numeru następnego. Spodziewamy się, że Czytelnicy po przeczytaniu głosów w tej sprawie, nie wezmą nam za złe, że tyle miejsca poświęcamy jakże charakterystycznym objawom „cech polskich“.

REDAKCJA

DO REDAKTORA

TYGODNIKA „DZIS I JUTRO“

Po przeczytaniu artykułu p. t. „WieczniŃ Polskie“, stwierdzam, co następuje:

Wejście 60 m przy pomocy drabiny strażackiej jest obiektywnie mniej bezpieczne, niż wejście z asenkuracją 60 m po Iglie, która ma też stopnie. Wejście 60 m po drabinie strażackiej męczy tak samo, co wejście po stopniach Iglie. Dodatkowo, idąc po stopniach Iglie, należy wykonać pracę zakładania klamer, jest to celowe, ponieważ zwiększa się bezpieczeństwo przejścia do koniecznego optimum. Przejście 60 m po stopniach Iglie jest wysiłkiem, który u wspinacza w ogóle się nie liczy...

Odnosnie naszego zdrowia: Obydwaj byliśmy badani przez lekarza sportowego, obydwaj jesteśmy silni i zdrowi. Ja biegłem do niedawna na długie dystanse 5 i 10 km, a Zbyszek na średnie. Ponadto badania lekarskie dla taternika, który decyduje się na ciężką wspinaczkę, są nie wystarczające dla zapobieżenia niespodziankom w rodzaju zasłabnięcia.

Dalej: Jaworowski nie zasłabł a tylko (jako medyk) poto zażył coraminę, żeby łatwo było mu nie spać. Kiedy Zbyszek zażądał z dołu coraminy, ja krzyknąłem: „Zbyszek uważaj na tych na dole, prasa czeka tylko na sensację. Powiedz wyraźnie, że używasz jej tylko dlatego, żeby nie być śpiącym i że ja czuję się doskonale“ (coraminy nie zażywałem przez cały czas). Jak przewidywałem, prasa podała, że obaj osłabieni, zażądaliśmy coraminy. Prasa, a wy Panowie uwierzyliście im, nieostrożni. Nikt z nas dolegliwości żadnej nie miał, którzyś się odnowiła na Iglie, ja miałem drobne zakażenie nogi, doktor jednak powiedział, że na Iglie mogę iść. Zrobiono mi cięcie palca i czułem się doskonale. Ból dał mi się na Iglie we znaki, ale to moja rzecz... Zasadniczym zadaniem naszym — wykonanym — było zdjęcie lustra.

Drugim zadaniem było założenie żarówek. Stwierdzam, że nieprawdą jest, jakoby sobie nie dał rady z ich założeniem. Fakty niech mówią: od żarówek byłem 1,20 m żeby je założyć trzeba było tylko wyjść na kominerz lustra, które po zdjęciu lustra było już b. łatwo dostępne. Kominerz ten miałem na wysokości piersi. Wejście do żarówek trwałoby po zamianie pętlí maximum ½ godz., i kiedy rozpocząłem przekładanie pętlí, by wejść wyżej otrzymałem polecenie z dołu: „Nie zakładaj żarówek“. „Dlaczego“ — zapytałem. Powtórzono polecenie: „Nie zakładaj żarówek“. A miałem zamiar wyjść nie tylko do żarówek, ale i wyżej poza nie, ażeby sprawdzić możliwość założenia bloczka przy zakładaniu nowego lustra, a także o zgrozo, dla „sportu“. Czułem się doskonale. Rece miałem tylko jeszcze słabe...

Miałem skrajnie zmęczone ręce i noga mi dokuczała. O stracie jednak życia mowy być nie mogło. W razie potrzeby w godzinę moglibyśmy się dostać do miejsca, gdzie sięgnęłaby drabina strażacka 60 m z pomocą. Skrajnie zmęczone ręce miałem, ponieważ wspinaczka nie z naszej winy trwała 35 godzin. Inżynierowie zamiast wg planu wykonania zrobili klamry według planu projektu. W rezultacie zamiast zużyć na założenie klamer po pięć minut, używałem w tym celu ½ godz., a nawet 1,5 godz. Założenie w tych warunkach klamer dało czas 35 godz., odbierając rękami wiele sił. 5 godzin straciliśmy, ponieważ obsługa ziemna popłatała linkę stalową (o tym też Pan powinien wiedzieć). Należy natomiast zwrócić uwagę na to, że dwóch młodych

i biologii, wymagająca od swych adeptów niesłychanie wiele zdrowego rozsądku, opanowania i mocnego charakteru. Dziś taternicy pokonują ściany skalne 900 metrowe, nie tylko pionowe, lecz nawet od pionu odchylone (kąt większy niż 90°). Widocznie posiadają kwalifikacje pozwalające im dokonywać bezpiecznie rzeczy, które dla innych byłyby niemożliwością lub szaleństwem. Dowodem tego, że przecież szaleńcami nie jesteśmy, jest fakt, że taternikami są ludzie tej miary co Walery Goettel, rektor A. G., min. Wolski, profesorowie uniwersytetu, jak np. prof. U. J. Moszew, prof. M. Sokołowski, prof. Krystyn Zaremba, jak redaktor J. A. Szczepański, lub byli nimi: gen. Mariusz Zaruski, Ignacy Paderewski, Karol Szymanowski, dr Michał Grażyński, prof. U. J. Wł. Szajnocha, Stefan Żeromski, Jan Kasprzowicz, Kaz. Przerwa-Tełmajer, a mógłbym cytować jeszcze długi szereg podobnych tym nazwisk. Oto bardzo krótko przedstawiłem Redakcji środowisko, z którego wyszliśmy.

W górach pokonywałem wiele znacznie trudniejszych problemów niż Iglie. Podobnie i mój towarzysz. Tam naprawdę dokonywałyśmy wyczynów, o których jednak nikt poza taternikami nie wie. Wejście na Iglie nie było wyczynem, jak Redakcja to nazwała, było ono zwykłą pracą, w której wykorzystaliśmy posiadane kwalifikacje.

Projekt naszego wejścia na szczyt Iglie zbadała Komisja Techniczna, złożona ze specjalistów inżynierów i została on przyjęty mimo, że odrzucono przed nim wiele innych, gdyż okazały się nie do zrealizowania lub zbyt niebezpieczne. Nie będę tu przedstawiał samego projektu wejścia, nie miejsce na to i po drugie nie byłby on zrozumiałym dla laików.

Redakcja pisze: „bezmisylnie fanfarony, chcieli zażłopować swą klasą wspinaczkową, nie licząc się ze swym życiem, swymi siłami.“

Jakże łatwo jest szafować słowem. Przypuszczam, że nie użyłaby Redakcja tego określenia, gdyby widziała nas dwóch, gdy przez blisko dwa tygodnie opracowywaliśmy sposób wejścia, przemyślając każdy szczegół, dokonując szeregu prób choć zdawaliśmy sobie z tego sprawę że nie jest to konieczne, oraz gdyby znała pobudki, które kierowały naszymi czynami. Oto one:

Chcemy pomóc Dyrekcji Wystawy Z. O. będącej w trudnej sytuacji, wykorzystując nasze kwalifikacje, które dokonanie rzeczy dla innych niemożliwej, czynią dla nas prawie łatwą i zupełnie bezpieczną. Ze względu na naszą ideologię sportową uczynimy to bezinteresownie. Duże znaczenie miał tutaj fakt, że problem znajdował się właśnie na Ziemiach Odzyskanych. Oto jest prawda.

To, że sprawa Iglie nabrała rozgłosu i charakteru sensacji, nie jest naszą winą lecz prasy. My staraliśmy się zapobiedz temu (podobnie jak Dyrekcja Wystawy wg. naszych życzeń), co może stwierdzić agencja prasowa INGOS.

My nie chcieliśmy wykazać klasy wspinania bo: Iglie się do tego nie nadaje (z punktu widzenia taternictwa jest drabiną ze wzgl. na łatwość jej pokonania), po drugie, nie mamy imputowanych nam ambicji, czego dowodem jest fakt, że o naszych niewątpliwych wyczynach i rekordach w górach nie mówimy nikomu. Zresztą przyznaję, lojalnie, że zarzut ten ze względu na jego osobisty charakter jest trudny do odparcia.

Z niebezpieczeństwem utraty życia liczyliśmy się bardzo poważnie. Dlatego przedsięwzięliśmy szereg kroków, mających zapewnić nam bezpieczeństwo. Po pierwsze zapytaliśmy konstruktora Iglie prof. dr inż. Hempla o wytrzymałość końcowego odcinka Iglie na obciążenie statyczną boczną. Odpowiedź była pozytywna, stwierdzając, że wierzchołek Iglie wytrzyma ciężar człowieka i sprzętu z ośmiokrotnym bezpieczeństwem.

Po drugie, stworzyliśmy odpowiednie elementy asekuracji, która z powodu specjalnego charakteru wspinaczki była o 100% wyższa niż przepisowa. Po trzecie, zaopatrzyliśmy się w hełmy i okulary chroniące przed ewentualnymi odłamkami lustra. Bezpieczeństwo nasze zwiększało opanowanie t. zw. ekspozycji (strachu przed przepaścią), która na nas zupełnie nie działała. Przed samą wspinaczką porozumiealiśmy się z PIHM-em.

Z siłami naszymi liczyliśmy się i zaufaliśmy im na podstawie doświadczeń w górach, które były przeprowadzone w warunkach niewątpliwie mniej korzystnych niż wspinaczka na Iglie.

Redakcja pisze: „przed wspinaniem nie przeprowadzono badania lekarskiego, które wykazałoby mogło, że jeden z studentów miał dolegliwość, jaka odnowiła mu się na szczycie Iglie, spowodowała przejściowe osłabienie, mogła spowodować śmierć.“

Rzeczywistość tak się przedstawiała: Mój towarzysz miał zwykłe otarcie nogi, które sprawiało mu ból przy chodzeniu. Jako medyk zrobiłem mu opatrunek i stwierdziłem, że sprawa nie jest groźna, gdyż węzły limfatyczne nie powiększyły się. Miałem rację, gdyż za kilka dni rana się zagoiła. Towarzysz wcale nie zasłabł na Iglie, a twierdzenie że otarcie nogi spowodowało jego śmierć jest przesadne i śmieszne.

Redakcja pisze: „...na górze opadło ich takie zmęczenie, że istniała obawa o życie.“

I tu muszę wykazać nieprawdziwość tego twierdzenia. Owszem byliśmy zmęczeni, lecz zupełnie wyczerpani. Byłem w życiu nieraz bardziej zmęczony. Czuliśmy zupełnie normalne i byliśmy w dobrym nastroju, o czym świadczą nasze rozmowy z obsługą na dole. Używałem wprawdzie (tylko ja) Coraminy, chcąc się uchronić przed sennością, co jednak nie odnosiło naturalnie skutku. Dostawaliśmy również chwilowych kurców mięśni zginających ręk, w czasie specjalnych wysiłków n. p. przy wyciąganiu splecionej linki stalowej, lecz jak wiadomo w

naszym sporcie rzeczy te często się zdarzają: byliśmy na nie z góry przygotowani, tak, że fakt ten w naszych warunkach w żadnym wypadku nie mógł odegrać najmniejszej roli. Zresztą był on spowodowany nocnym zimnem. Drugiego dnia kurcze rąk zupełnie nam nie dokuczały.

Co do wyników prac.

Redakcja pisze: „W rezultacie nie dokonali zasadniczej części swego zadania: założenia instalacji świetlnej; nie mogli sobie dać rady.“

Jest to grubą nieprawdą. Założenie żarówek elektrycznych nie było „zasadniczą częścią zadania“. Było nią usunięcie grożącego spadnięciem i zranieniem lub zabiciem ludzi uszkodzonego lustra i jego umocowanie, co wykonaliśmy. Żarówki mógł mój towarzysz wkręcić w gniazdko bez żadnego trudu gdyż instalacja świetlna była tuż przy nim (mógł dotknąć jej ręką), nie zrobił tego jednak na wyraźne żądanie Dyrekcji Wystawy, która twierdziła, że nie opiac: się tego czynić, gdyż żywot tych żarówek jest zbyt krótki. Stwierdzam, że na górnym odcinku Iglie komunikacja z dołem była bardzo dobra za pomocą linki stalowej i bloczka i żarówkę można było bardzo łatwo nam postać.

„Jednym słowem młodzi zaryzykowali swe życie zupełnie na próżno. Szczęśliwie udało się im zejść.“

Myśmy życia nie ryzykowali. Nigdy nie ryzykujęm, za trzeźwo bowiem patrzymy na świat, a praca nasza nie była próżna, gdyż osiągnęliśmy swój cel: zdjęcie lustra. Zejście wcale się nam nie udało. Zejście zostało dokonane planowo z ekonomicznym obliczeniem sił i okoliczności, a że było ono słuszne dowód: fakt, że odbyło się bez nieprzewidzianych wypadków. Może właśnie dlatego, że myśleliśmy nad sprawą Iglie przez dwa tygodnie, a nie przez chwilę jak odpowiedzialna za swe słowa redakcja.

Zbigniew Jaworowski
Kraków, dnia 30.X.1948 r.

Do dwóch powyższych listów wypada nam dodać następujące uwagi:

1) Nie zamierzaliśmy atakować personalnie obu wspinaczy — dlatego też celowo ominięliśmy w notatce ich nazwiska — a jedynie samą istotę wyczynu.

2) Młodzi wspinacze ciągle jeszcze — co wynika z listów — nie rozumieją zasadniczej różnicy istniejącej między wysokogórką wspinaczką będącą może ryzykowną, ale o wielkim ładunku piękna, walką człowieka z naturą, walką uszlachetniającą, a bezduszną drapaniłą się po żelaznym przecie, w istocie dla naprawienia czyichś błędów czy niedopatrzeń, a pozornie dla wykonania jakiegoś iside amerykańskiego rekordu. I nie są tu ważne subiektywne intencje i osobista skromność młodych wspinaczy, ale obiektywny fakt, iż wspinaczka ta stała się imprezą reklamowaną szeroko, imprezą o oddźwięku wychowawczym — głoszącą podziw dla zbędnego ryzyka.

3) Ze ryzyko było zbędne jasno wynika z obu listów. Prawie trzy miesiące resztki lustra czekały na zdjęcie. Mogły poczekać jeszcze dwa tygodnie, do zamknięcia Wystawy, potem zostać usunięte w bardziej bezpieczny i mniej kosztujący sposób ludzkich sposob. Jeśli tylko lustro było powodem drapania się — to impreza jest zupełnie nieusprawiedliwiona. A jeśli konieczność sygnalizacji świetlnej dla samolotów zagrożonych przez czubek 106 m masztu, to poco kazano chłopcom w chwili, gdy już osiągnęli szczyt, rezygnować z założenia instalacji świetlnej? Dlaczego dopiero wtedy zorientowano się w nieatrważności żarówek? Bardzo lekkomyślnie zaryzykowano czymś zmęczeniem, jeśli już nawet nie zdrowiem, czy życiem! Postąpiono bardzo po polsku!

4) Z listów wynika, że klamry były złe, a więc że chłopców posłano na Iglie nie zadbawszy dostatecznie o dostarczony im sprzęt. Żadna subiektywna ocena własnych ich sił nie przesłoni tego karygodnego niedbalstwa. Niezego nas nie nauczyła wojna i Powstanie!

Na tym dyskusję zamykam, jeszcze raz stwierdzając, iż istota sprawy tkwi w decyzji zezwalającej na wspinaczkę bez faktycznego celu (żarówki okazały się nieważne!) oraz w wychowawczym rezonansie tej imprezy.

REDAKCJA

Sieci rybackie cienkie i grube
Węże przeciwnożarowe tłoczne

Fachowość, dbałość o szczegóły, wytrzymałość i odporność na uszkodzenia, to są cechy, które wyróżniają nas spośród innych producentów. Nasze węże i sieci są wykonane z najlepszych materiałów i są idealnie przystosowane do użytku w przemyśle i w rolnictwie.

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
„IWIS“ SP. AKC. GRODZISK MAZ. UL. SPÓŁDZIELCZA 2 tel. 7067